Osiem stron — Str. 5: KIBUCE PRZECIW SOWIETOM — Cena 1 sh

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO - KULTURALNY

Rok IV. — Londyn, niedziela 7 maja 1950 — Nr. 19 (15)

HALINA GORGOLEWSKA

DZIEJE PEWNEGO NAWRÓCENIA

OPOWIADANIE Tomasza Mertona, obecnie Ojca Ludwika, o dziejach swego nawrócenia na katolicyzm ma w sobie coś więcej niż jakakolwiek inna autobiografia. Ojciec Luis pisze z zakonu Trapistów Our Lady of Gethsemani w Kentucky. Jego praca nad tą głośną książką odbywała się w atmosferze modlitwy i umartwienia, w ciszy życia zakonnego, przerywanej tylko biciem dzwonów wzywających na modlitwę i zawodzeniem gregoriańskich śpiewów. „Elected Silence" jest owocem głębokiego przemyślenia. Merton pisze o sobie i o swoich przeżyciach, analizując je i komentuje poprzez pryzmat Łaski. To mu pozwala łagodnie ironizować na temat swych studenckich czasów, wykpiwać momenty uczuciowego napięcia, ale co więcej, pozwala mu to analizować siebie jako typowego młodzieńca naszych czasów i poddawać krytyce wszystko co można zebrać pod nazwą „nowoczesny świat".

„Elected Silence" nabiera szczególnego posmaku jeżeli zdamy sobię sprawę z tego, że Ojciec Luis ma w tej chwili około 35-ciu lat i że wstąpił do Trapistów, dopiero w 1941 roku, a więc już w czasie wojny. Przez książkę przewijają się zdarzenia i nazwiska dobrze nam znane z współczesnej literatury i z wypadków ostatniego dziesięciolecia.

Główna część akcji rozwija się na tle życia w Stanach, z całą jego sugestywnością, bezpośredniością, dynamizmem i błyskotliwą pustotą. Można by nawet powiedzieć, że „Elected Silence" jest wypływem typowo amerykańskiego sposobu myślenia, Częste podróże po Europie i studia w Anglii nie pozostały jednak bez wpływu. Merton wchłonął w siebie wiele z kultury europejskiej, nie tracąc amerykańskiej prostoty. Jakże trafnie charakteryzuje swoją drogę życia w tych kilku prostych zdaniach:

„W ostatnim dniu stycznia 1915 roku przyszedłem na świat, pod znakiem wodnika, w roku Wielkiej Wojny Światowej, w cieniu wysokiej góry, na granicy hiszpańsko-francuskiej. Z natury wolny, stworzony na obraz i podobieństwo Boga, byłem więźniem własnej złości i samolubstwa, na obraz i podobieństwo świata, w którym się urodziłem. Ten świat był odbiciem piekła, pełen ludzi, jednocześnie kochających i nienawidzących Boga, tak jak ja, stworzonych dla miłości, a żyjących niepewnością, w labiryncie sprzecznych dążeń".

„Ojciec i matka żyli w tym mieście jak więźniowie, wiedząc, że do niego nie należą, a jednak byli niezdolni, aby się odeń uwolnić. Byli w świecie, ale nie z tego świata, nie dlatego żeby byli świętymi ale dlatego, że byli artystami. Niezależność artysty wynosi go ponad poziom tego świata, nie wyzwalając jednak od jego wpływów."

„Ojciec mój malował jak Cézanne i rozumiał pejzaż francuski jak Cézanne... Ojciec mój był bardzo dobrym artystą".

„Od ojca odziedziczyłem jego sposób patrzenia na rzeczy oraz coś z jego duchowej niezależności, od matki niezadowolenie ze świata i z nieładu, w którym się znajdował oraz coś z jej obrotności. Od obojga otrzymałem w spuściźnie zdolności zarówno pracy jak i intuicji oraz radość życia i umiejętność wypowiadania się. Gdyby sądzić według standartów tego świata, mogłoby mi starczyć zalet, aby być jakimś królem. Nie znaczy to, żeśmy byli kiedykolwiek bogaci, ale nawet każdy głupiec wie, iż nie potrzeba pieniędzy, aby wyciągnąć maximum przyjemności z życia".

„Gdyby szczęście było tylko kwestią przyrodzonych zdolności, nigdy nie wstąpiłbym do zakonu Trapistów".

Ojciec Mertona był Australijczykiem, matka Amerykanką. Całe życie spędzili podróżując między Europą a Stanami. Oboje byli religijnie obojętni. Matka brała niekiedy udział w nabożeństwach Kwakrów, ale dwóch synów chroniła przed wpływami jakiejkolwiek religii, chcąc im dać możność wyboru, gdy dorosną. Nie udało jej się tego dokonać. Umarła wcześnie i synowie w trakcie ciągłych wypraw malarskich, na które zabierał ich ojciec, znaleźli się nieraz pod wpływem tej lub innej religii. Tomasz przez pewien czas był w protestanckiej szkole gdzieś w południowej Francji a wakacje spędzał u zaprzyjaźnionej rodziny francuskich chłopów, gorliwie praktykujących katolików.

Po kilku latach pobytu we Francji oto Nowy York, potem znowu Francja, wreszcie Anglia. Merton poraz pierwszy w życiu spędza kilka lat w jednym miejscu, w jednej z typowo angielskich „Boarding Schools", gdzie musi nosić ciemne ubranie i sztywny kołnierzyk i każdego rana brać udział w modlitwach, odmawianych w czyściutkiej, wypucowanej protestanckiej kaplicy.

Życie toczy się dalej. Merton zdaje maturę i zdobywa pierwsze miejsce w konkursowym egzaminie o stypendium do Cambridge.

„Świat miał wkrótce stanąć otworem przede mną z wszystkimi jego przynętami. Wszystko będzie należało do mnie, ze swoją inteligencją i pięciu bystrymi zmysłami pochłonę wszystkie skarby tego świata. Wezmę, co mi sprawi przyjemność, resztę odrzucę, a jeśli zechce mi się zniszczyć skarby, których nie będę w stanie zużyć, zniszczę je i sponiewieram, po to tylko, żeby siebie zadowolić, gdyż jestem panem wszystkiego"...

„W czasie wakacji Bożego Narodzenia chodziłem na zabawy, objadałem się i upijałem do nieprzytomności"...

„Wyrwałem się z tego stanu, strząsnąłem pył z mego obuwia i 31 stycznia, w dniu w którym skończyłem 18 lat, Tom (opiekun) zabrał mnie do Café Anglais na szampana, a następnego dnia byłem już w drodze do Włoch".

Ruch, zmiany i stały przypływ nowych wrażeń. Z wrażliwością artysty Tomasz wchłania w siebie wszystko, co najwspanialsze z zabytków kulturalnych Europy. Zaczął od zwiedzania ruin starożytnego Rzymu, a skończył pielgrzymując od kościoła do kościoła, wpatrując się w obrazy i mozaiki na ścianach. Coś go tam ciągnęło. Zaczął nawet czytać nowy testament, aby poznać źródło inspiracji tych wspaniałych dzieł sztuki. [illegible] Cambridge z innym już nastawieniem czytał Dantego.

Wszystko to dawało mu dużo zadowolenia jako przeżycia czysto estetyczne. Ale Cambridge miało w sobie inne atrakcje. Zaczęły przychodzić interpelacje od tutorów, dlaczego Merton opuszcza większość wykładów, opiekun z Londynu przysyła listy z upomnieniami, a Merton zatopił się w Freudzie, Jung'u i Adlerze, o ile mu zmęczenie po nocnych eskapadach pozwalało, żeby zgłębić tajniki seksualnej represji.

Pomimo wszystko Merton wyjechał na wakacje do Nowego Yorku ze świadectwem o szczęśliwie zdanych egzaminach w kieszeni. Miał zamiar wrócić do Cambridge na drugi rok, ale opiekun poradził mu, aby zrezygnował z zamierzonej kariery dyplomatycznej i kontynuował studia w Nowym Yorku. Nie potrzeba było długich perswazji. „Nie wiem, czy jest to tylko mój subiektywny pogląd, ale wydawało mi się, że jest coś w Europie, co mnie psuje, coś, czego samo wspomnienie i zapach przyprawiało mnie o mdłości"...

„Dosyć widziałem rzeczy, czynów i namiętności, które byłyby dostatecznym wytłumaczeniem tego tonażu bomb, które miały w niedługim czasie zasypać Europę. Czyż wtedy wiedziałem, że moje tylko grzechy wystarczyłyby, aby zniszczyć całą Anglię i Niemcy? Jeszcze nie wynaleziono takiej bomby, która by nawet w połowie tyle miała siły niszczycielskiej, co jeden grzech śmiertelny".

Okres na uniwersytecie Columbia nie wiele różni się od roku spędzonego w Cambridge. Merton zapisuje się do grupy komunistów, rysuje karykatury, kocha się i pije. Przytem wydaje mu się, że jest literatem i artystą. Oto, co pisze o sobie z tego okresu: „Wszyscy mnie już wtedy na Columbia znali. Ci, którzy jeszcze nie wiedzieli kim jestem, mieli się dowiedzieć w niedługim czasie, gdyż kronika, która się wkrótce ukazała w druku, pełna była moich karykatur i rysun-

TOMASZ MERTON

PIERWSZA MSZA ŚW.

FRAGMENT Z KSIĄŻKI „ELECTED SILENCE"

KIEDY byłem już przygotowany do pisania swojej tezy, gdzieś w początkach września, podstawy nawrócenia były mniejwięcej ugruntowane. Jakże łatwo i słodko się to wszystko stało, z wszystkimi oznakami Łaski, które na mej drodze przygotowała Opatrzność. Trochę więcej niż półtora roku było trzeba, licząc od czasu, kiedy przeczytałem Gilsona „Duch filozofii średniowiecznej", ażeby przekształcić „ateistę", za jakiego się uważałem, w człowieka, który przyjął cały zasięg i wszystkie możliwości religijnego przeżycia, aż do najwyższych szczytów chwały.

Co więcej, przyjąłem to wszystko nie tylko na płaszczyźnie intelektualnej, ale zacząłem tego pragnąć i to pragnąć skutecznie. Poczułem chęć rozpoczęcia koniecznych kroków, by osiągnąć harmonię wewnętrzną i upragniony spokój. Zapragnąłem ofiarować całe życie Bogu. Myśl ta była jeszcze bardzo zamglona i niejasna i o tyle wprost śmiesznie niewykonalna, że zacząłem marzyć o mistycznej unii — nie zachowując najprostszych zasad moralności. A jednak byłem przekonany o realności mojego celu i ufałem, że może być osiągnięty. Jeśli nawet w mojej ufności był element zarozumialstwa, pewien jestem, że Bóg przebaczył mi w Swoim miłosierdziu tymbardziej, że mimo całej głupoty i niezaradności, zaczynałem być naprawdę gotów, aby spełnić wszystko, co według mego mniemania Bóg chciał, bym spełnił, w celu zbliżenia mnie do Siebie.

Ach, jakżeż jednak ślepy, słaby i chory byłem jeszcze, mimo, że wydawało mi się, że wiem już, dokąd idę, i że już niemal znam drogę. Jak to czasami omamiają nas piękne myśli, wyczytane z książek! Wydaje nam się, że rozumiemy już wszystko o rzeczach, o których nie mamy żadnej praktycznej wiedzy. Pamiętam jak mądrze i z jakim entuzjazmem mogłem rozmawiać godzinami o mistycyzmie i o praktycznej znajomości Boga, podsycając ogień argumentów szklankami whisky z sodą.

Pamiętam, na przykład, jak to się skończyło w „Labour Day". Pojechałem do Filadelfii z Joe Roberts, który mieszkał w tym samym domu co ja. Skończył on już studia i pracował dla pisma kobiecego. Noc całą siedzieliśmy z jego przyjacielem w dużym, ponurym domu zajezdnym pod Filadelfią, dyskutując zawzięcie o mistycyzmie, paląc coraz to więcej papierosów i upijając się powoli. Wreszcie pełen entuzjazmu dla czystości serca, które jest w stanie oglądać Boga, pojechałem z nimi do miasta już po zamknięciu barów i dopełniłem dzieła umazania się w błocie grzechu.

Moje trudności wewnętrzne zaczęły się wyjaśniać, to prawda, ale tylko w teorii, nie w praktyce, nie dlatego, żeby brakło mi dobrej woli, ale dlatego, że byłem jeszcze całkowicie spętany nałogami i grzechami.

Wydaje mi się, że w praktycznym życiu umysł jest tylko pozornie niezależny od zachcianek i pożądliwości, a to jest prawda, której powinien się nauczyć nowoczesny człowiek... Umysł jest stale oślepiany i wypaczany pożądliwościami, a argumenty, jakie nam przedstawia z wszelkimi pozorami bezstronności, są nasycone interesownością i propagandą.

Nawet kiedy działamy w najlepszej intencji, możemy powodować dużo złego. Są drogi, które się ludziom mogą wydawać dobre, a które się kończą w otchłaniach piekła.

Jedynym rozwiązaniem tego problemu jest Łaska — uległość Łasce. Byłem jeszcze ciągle w niebezpiecznej sytuacji sam siebie prowadząc i sam interpretując Łaskę. Dziwię się, że kiedykolwiek dotarłem do przystani.

Kiedyś, w sierpniu, uległem wreszcie pragnieniu, które już od dawna nurtowało we mnie. Co niedzielę wyjeżdżałem na Long Island, gdzie spędzałem dzień z tą samą dziewczyną, która z takim pośpiechem przywiozła mnie z Olean. Ale co tydzień, kiedy zbliżała się niedziela, czułem wzrastającą chęć pozostania w mieście i pójścia do jakiegoś kościoła. Pragnienie to stało się tak silne, że nie mogłem się już dłużej opierać. Zatelefonowałem do znajomej, że tego week-endu nie przyjadę i zdecydowałem się pójść na Mszę świętą po raz pierwszy w życiu.

Tak, była to prawda, po raz pierwszy w życiu! Przez kilka lat mieszkałem na kontynencie, byłem w Rzymie, wiele razy wchodziłem i wychodziłem z katolickich katedr i kościołów, na Mszy świętej jednak nigdy jeszcze nie byłem. Jeśli się coś działo w kościele, który zwiedzałem, uciekałem w dzikiej protestanckiej panice.

Nie prędko zapomnę jak czułem się tego dnia. Najpierw odczuwałem to błogie, silne, łagodne i czyste pragnienie „Idź na Mszę! Idź na Mszę!" Było to coś całkiem nowego i niepojętego, ten głos, który zdawał się mnie wabić, wzrastające wewnętrzne przeświadczenie o tym, co powinienem zrobić. I kiedy się im-

(Dokończenie na stronie 3-ej)

ków. Niejednemu przypuszczalnie obrazki te powiedziały więcej o mnie, niżbym sobie tego życzył. Nie musieli być zbytnio wnikliwi, by zauważyć pyszny, pełen zadowolenia z siebie wyraz na mojej twarzy. Dziwię się tylko, że nikt otwarcie nie wyszydził mojej głupoty i nikt nie obrzucił mnie jajami".

W tym okresie wpada mu do rąk książka o filozofii średniowiecznej. Jego zainteresowanie kulturą średniowieczną budzi się na nowo. Wspomnienia kościołów gotyckich i obrazów nabierają na sile. Napotyka na rozdział omawiający św. Tomasza i jego dowody na istnienie Boga. Uderza go zdanie, które Bóg powiedział do Mojżesza. „Jam jest, który jest". Spokój, prostota i oczywistość tego stwierdzenia wstrząsa nim do głębi. Merton, który szukał jakiejś niewzruszalnej podstawy, na której mógłby się oprzeć, wyczuwa, że to jest właśnie to, czego szukał.

A to odkrycie jest punktem zwrotnym w jego życiu. Zdanie sobie sprawy z faktu istnienia Boga pociąga za sobą jako logiczną konsekwencję zmianę sposobu życia. Merton od tej chwili powoli bardzo i okrężną drogą, ale stale zaczyna zbliżać się do Kościoła.

„Ilu jest w podobnej sytuacji, w jakiej ja wtedy byłem! Wystają oni po bibliotekach i przewracają kartki Summy św. Tomasza z pewnym zaciekawieniem i szacunkiem, prowadzą dysputy na temat św. Augustyna, lub Duns Scota, są zaznajomieni z Maritainem i Gilsonem, przeczytali poezje Hopkinsa i można powiedzieć, że lepiej znają katolicką filozofię i literaturę, niż sami katolicy. Czasami nawet idą na Mszę i podziwiają powagę i prostotę starej liturgii. Tacy ludzie potrafią ocenić Kościół katolicki obiektywnie i z intelektualnego punktu widzenia. Na katolicyzm jednak nie przechodzą. Stoją głodni u drzwi domu, w którym odbywa się uczta, na którą napewno są zaproszeni, podczas gdy ci wszyscy biedniejsi, głupsi, mniej wykształceni, czasami nawet mniej szlachetni, wchodzą i zostają nasyceni".

Osobą, który miała duży wpływ na jego nawrócenie, był mnich... hinduski, buddysta, który przyjechał do Stanów na Światowy Kongres Religii, który odbył się w Chicago w 1932 r. — Do zakonu buddyjskiego, zagubionego gdzieś w górach koło Calcutty, przysłano zaproszenie na ten kongres. „Przeor" wybrał Bromachari'ego spośród zakonników i kazał mu jechać. Ale „zakon" był ubogi i przełożony dał na bilet jedynie do najbliższej stacji... Na więcej nie było go stać. Bramachari rozpoczął swoją wędrówkę na Światowy Kongres Religii w Chicago bez paszportów i bez pieniędzy. Jak podróżował, nie wiadomo. Dość, że kiedy dojechał do Chicago, Światowy Kongres Religii już się skończył.

Pierwsze spotkanie Mertona z Bramacharim było raczej niezwykłe. Czekał z przyjacielem na jednej ze stacji Nowego Yorku na pociąg, który miał przywieźć Bramachari'ego z Chicago. Przyjaciel Mertona, który znał Hindusa już przedtem, zaczął z typowo amerykańskim poczuciem humoru opowiadać Mertonowi o umiejętności Bramachari'ego unoszenia się w powietrze, chodzenia po wodzie itd. Merton, który ostatnio pochłonął kilka książek na temat wschodniego mistycyzmu, sam nie wiedział czy wierzyć czy nie. Pociąg już nadjechał, a Bramachari'ego nie było nigdzie widać. Rozglądali się na wszystkie strony, rozpytując przechodniów, kiedy niespodziewanie zauważyli kota kręcącego się między tłumami.

— To on, powiedział kolega. Przemienił się w kota, żeby nie zwrócić na siebie uwagi, a teraz kiedy już wie, że my tu jesteśmy nadejdzie za chwilę.

W chwili, kiedy to mówił, Bramachari podszedł od tyłu.

— Ach Bramachari, jak się masz!

Merton ujrzał małego, nieśmiałego człowieka, o szczęśliwym wyrazie twarzy, z uśmiechem od ucha do ucha. Na głowie miał żółty turban z czerwonymi literami hinduskich modlitw wypisanymi dookoła.

Bramachari nie próbował przekonywać Mertona o słuszności swojej religii. Zapytany ,co myśli o religiach, które napotkał w Ameryce, przytaczał kilka zaobserwowanych faktów, bez żadnych komentarzy i wreszcie wybuchnął cichym, serdecznym śmiechem, wyrażając tym swe duże zdziwienie, że ludzie mogą żyć tak, jak żyją.

Bramachari rzadko mówił z emfazą i rzadko dawał rady. Jedyna rada, jakiej udzielił Mertonowi i to powtarzając ją kilkakrotnie, była ta, aby przeczytał „Wyznania św. Augustyna" i „O naśladowaniu Chrystusa" bł. Tomasza a Kempis.

Merton poznał człowieka, którego całe życie było skoncentrowane na Bogu, i ten właśnie człowiek, nie katolik, nie chrześcijanin kazał mu czytać książki katolickie...

Grunt do nawrócenia jest już przygotowany, trzeba jeszcze tylko aktu woli.

Pewnego popołudnia Merton przyniósł z biblioteki biografię Hopkinsa, konwertyty i poety. Zaczął czytać rozdział, który mówił o życiu Hopkinsa w Oxfordzie. W tym czasie Hopkins zaczyna się zastanawiać nad przejściem na katolicyzm. Pisze w tej sprawie listy do kardynała Newmana. Merton czuje coraz to większy niepokój. Przerywa czytanie i znowu wraca do książki. Hopkins pisze do Newmana, że trudno mu się zdecydować na ostateczny krok. Newman odpowiada, żeby przyjechał do niego osobiście. Merton odkłada książkę. Jakiś głos mówi mu: „Na co ty czekasz, przecież wiesz co masz zrobić". Merton nie opiera się już dłużej, ubiera się, wychodzi na ulicę, mija kilka domów, które dzieliły go od najbliższego kościoła i puka do drzwi zakrystii. Kapłana nie było w domu. I już miał zamiar odejść z myślą, że wróci innym razem, kiedy zobaczył księdza wychodzącego z za rogu ulicy.

W listopadzie 1939-go roku Merton zostaje ochrzczony. „Znala- [illegible] bez końca ciążenia, tego ciążenia, które jest samym życiem, i duchem Boga, ciążeniem Boga samego w kierunku głębin Jego własnej bezkresnej Istoty i dobroci bez końca. Bóg, ten wszechobecny lecz bezkresny Ośrodek, znalazłszy mnie, poprzez zjednoczenie z Chrystusem, włączonego w ten olbrzymi i potężny wir dośrodkowy jakim jest miłość, a która jest Duchem Świętym, ukochał mnie."

Jako instrument posłużył Żyd Lax, przyjaciel Mertona z uniwersytetu. Wracali pewnego wieczoru ze spaceru dyskutując z ożywieniem. W pewnej chwili Lax zwrócił się w stronę Mertona:

— Właściwie, czym ty chcesz być?

— Merton był trochę zaskoczony i jąkając się odpowiedział, że chyba chce być dobrym katolikiem.

— Co ty przez to rozumiesz: „być dobrym katolikiem?", dopytywał dalej Lax. Odpowiedź Mertona była jeszcze mniej jasna. Widać było, że się nad tym problemem nie zastanowił.

— Wiesz co powinieneś był odpowiedzieć na moje pytanie? Powinieneś odpowiedzieć, że chcesz być świętym.

— Świętym — zdziwił się Merton. Jakże ja mogę być świętym?

— Po prostu musisz chcieć. Czy nie uważasz, że Bóg może uczynić cię tym, na co cię stworzył, jeśli tylko mu na to pozwolisz? Musisz tylko tego pragnąć.

Merton nie odrazu zdał sobie sprawę z doniosłości tej rozmowy.

Bóg coraz silniej przyciąga Mertona, bez względu na ludzi i okoliczności.

Po wesoło spędzonym wieczorze, w jednym z nowojorskich lokali, Merton zabrał część towarzystwa do siebie na nocleg. Peggy, artystka z pobliskiego teatrzyku, zajęła sypialnię, a Merton z kolegą spędzili noc na rozstawionych krzesłach i na podłodze. Około 1-szej w południe spożyli posiłek, który nazywali śniadaniem, siedząc w kuczki na dywanie, przy akompaniamencie zdartych już płyt jazzowych, i wypalając duże ilości papierosów. Ktoś leniwie zaproponował by pójść na popołudniowy spacer. W czasie tego wszystkiego Merton ni stąd ni zowąd uświadomił sobie, że chce zostać księdzem. Powiedział to nawet na głos. Nikt nie wziął tego poważnie. Takie stwierdzenie między jednym żartem a drugim mogło uchodzić tylko za żart.

W czasie spaceru myśl ta nie opuszczała Mertona. W międzyczasie przyjaciel odłączył się od grupy i pozostała Peggy. Odprowadzając ją do kolejki Merton zaczął znowu o tym mówić.

— Peggy, ja mówię zupełnie poważnie! Wstąpię do zakonu i zostanę księdzem.

Peggy nie bardzo wiedziała o co właściwie chodzi.

Zostawszy sam, poszedł do kościoła. Natrafił na nabożeństwo wieczorne. Klęcząc przed Najświętszym Sakramentem, czuł, że jest postawiony przed decyzją, którą musi natychmiast podjąć. „Czy chcesz być księdzem? Jeśli tak, to wypowiedz to..." Tak, Merton chciał być księdzem z całego serca. „Jeśli to jest zgodne z Twoją wolą — mówił Merton, wpatrując się w Przenajświętszą Hostię — uczyń mnie kapłanem, uczyń mnie kapłanem!"

Następny okres życia Mertona można by nazwać duchową sielanką. Okoliczności układały się jak najpomyślniej. Kilka tygodni spędził w szpitalu, był operowany. Co rano Pan Jezus przychodził w Komunii Świętej do łóżka chorego. Rekonwalescencję spędził na Kubie. „Żyłem jak książę na tej wyspie, jak jakiś duchowy milioner. Każdego rana, kiedy wstawałem około 7 lub 7.30 i wychodziłem na rozgrzaną słońcem ulicę, trafiałem z łatwością do któregoś z wielu kościołów. Prawie że zaraz po wejściu mogłem przyjąć Komunię św., jeżeli chciałem, gdyż ksiądz wychodził z kielichem pełnym Hostii, przede Mszą, w czasie Mszy i po Mszy — a co 15, co 20 minut zaczynała się nowa Msza przy którymś z bocznych ołtarzy. Były to kościoły należące do różnych zgromadzeń zakonnych — Karmelitów, Franciszkanów, amerykańskich Augustynów z El Santo Cristo albo Ojców Miłosierdzia. — Gdziekolwiek zwróciłem swoje kroki, ktoś czekał na mnie, aby mnie nakarmić, czerpiąc z nieskończonej siły Chrystusa, który mnie ukochał i który zaczynał mi pokazywać z hojną, wspaniałą i subtelną wielkodusznością jak bardzo mnie ukochał."

Lato 1940 roku dłużyło się Mertonowi bardzo. W sierpniu miał wstąpić do nowicjatu Franciszkanów. Tymczasem przesiadywał w bibliotece pobliskiej szkoły franciszkańskiej i czytał Summę św. Tomasza o dobroci, o mądrości, wszechobecności i miłości Boga, podnosząc głowę od czasu do czasu, aby spojrzeć na Ukrzyżowanego, którego obraz wisiał na przeciwległej ścianie. Nieraz też przeglądał „Życiorysy Świętych" Butlera, w poszukiwaniu za imieniem, jakie mógłby sobie przybrać jako Franciszkanin. Nie mógł się zdecydować. Wszystkie możliwe imiona były już „zajęte". Ktoś mu doradzał imię Paphancjusz. Wreszcie stanęło na tym, że będzie się nazywał Jan Hiszpan. „Wyobrażałem siebie w sandałach i w brązowym habicie i prawie słyszałem głos Mistrza nowicjatu, wołającego na mnie:

— Brother John Spaniard, proszę iść tam a tam i wyszorować tę podłogę.

Widziałem siebie idącego pokornie wzdłuż korytarza, w moich sandałach — a raczej: w naszych sandałach — z oczami spuszczonymi pokornie, śpiesznym, wdzięcznym krokiem młodego braciszka, który wie, co do niego należy: Brat Jan Hiszpan — miły to obrazek."

Pewnego dnia spokój prysnął. Wróciła niepewność i wewnętrzne zmagania. Zatarła się myśl powołania do stanu kapłańskiego. Zamglił się obrazek Franciszkanina w sandałach i w brązowym habicie. Powiedziano mu już wyraźnie, że powołania do Franciszkanów nie ma. Mimo to idea życia zakonnego pociąga go coraz bardziej.

Droga, na którą miał teraz wstąpić, szła stromo pod górę. U Franciszkanów wszystko miało być tak miłe i łatwe. Nie ma powołania, które nie pociągałoby za sobą ofiary. „Zaczynałem się wspinać na nowo mozolnie pod górę z przepaści, która wydawała się być bardzo głęboką".

Merton postanawia żyć według reguły, nałożonej przez siebie samego, zbliżonej do reguły zakonnej. Kupuje brewiarz, zatapia się w „rozmyślaniach" Św. Ignacego Loyoli. Warunki zewnętrzne sprzyjały. Merton dostał posadę nauczyciela w szkole franciszkańskiej i tam w ciszy i w pobliżu kaplicy rozwiązuje swoje problemy jeden po drugim. Już nie imię, habit i sandały skupiały uwagę, ale codzienna uciążliwa upokarzająca walka, która miała przywrócić harmonię w duszy. „Zajmował mnie teraz przede wszystkim ten najistotniejszy praktyczny problem wspinania się krok po kroku, z przygniatającym ciężarem na plecach i błaganie Boga, aby mnie ciągnął dalej i odsuwał od moich nieprzyjaciół i tych, którzy starali się mnie zniszczyć."

Bóg zaczyna napełniać Mertona Łaską, która ogarnia samą głębię jego istoty. Zamiast uczuciowej słodyczy, która przepełniała jego duszę jeszcze tak niedawno, wlewa się ten nieporównany spokój i szczęście, wypływające z obecności Boga w duszy.

„Do tego czasu udało mi się już wyzbyć wszystkich nałogów i zbytków, które ludziom tego świata wydają się niezbędne dla wygody i rozrywki. Usta były wreszcie wolne od żółtej palącej nikotyny, oczy od popielatego brudu ekranów. Wyrzuciłem książki, które brukały wyobraźnię i uszy uwolniłem od dzikich gwałtownych dźwięków. Wlewała się przez nie cisza..."

Modlitwa i ofiara, dwie główne zasady życia zakonów kontemplacyjnych powoli znajdują swoją drogę do życia Mertona. Rekolekcje w zakonie Trapistów (jeden z zakonów o najsurowszej regule) były tak wstrząsającym doświadczeniem, że od tego czasu chęć pozostania zakonnikiem prześladuje go nieustannie, mimo, że stara się uciec od niej. W czasie tych rekolekcji Merton zrozumiał, czym jest miłość i ofiara.

„O mój Boże, z jaką potęgą uczysz czasami duszę człowieka którejś z swych potężnych prawd!"

Pierwszego dnia rekolekcji obudziło go bicie dzwonów o 4-tej rano. Zerwał się ze snu i zaczął krążyć po ciemnych korytarzach, w poszukiwaniu drogi do kościoła. Nie było się kogo spytać. Wreszcie zobaczył dwie postacie znikające za drzwiami. „Poszedłem za nimi do tych drzwi. Prowadziły do krużganku klasztornego. Krużganek był zimny i słabo oświetlony. Zapach wilgotnej wełny uderzył mnie swoją nieziemskością. Zobaczyłem zakonników. Jeden z nich był tuż zaraz przy drzwiach. Uklęknął, a raczej rzucił się na ziemię przed Pietą w rogu krużganku i ukrył głowę w olbrzymich rękawach habitu. Tam u stóp martwego Chrystusa, który leżał w ramionach Marii w martwym bezwładzie ze zwisłym ramieniem i przebitą ręką. Był to obraz tak potężny, że przeraził mnie: to uniżenie, ta uległość, pozornie złamanego zakonnika, u stóp złamanego Chrystusa. Wstąpiłem w krużganek jak w otchłań."

W dużym ciemnym kościele, oświetlonym tylko świecami, była odprawiana Msza Św. jednocześnie przy wielu ołtarzach wbudowanych w ściany, wyglądających jak groty na pół pogrążone w cieniu.

„Patrz, patrz kim Bóg jest, zrozum czym jest ta Msza, patrz na Chrystusa tu, na krzyżu, zobacz Jego rany, zobacz jego porwane ręce; zobacz Króla Chwały ukoronowanego cierniem. Czy wiesz, co to jest Miłość? Oto Miłość tutaj na Krzyżu, oto Miłość znosząca gwoździe, ciernie i bicz uzbrojony ołowiem, rozbita, krwawiąca do śmierci przez twoje grzechy, krwawiąca do śmierci za ludzi, którzy Go nawet nie poznają, nigdy nie pomyślą o Nim, nigdy nie będą pamiętać o Jego Ofierze. Ucz się od Niego jak kochać Boga i jak kochać ludzi. Ucz się z tego Krzyża, z tej Miłości jak dawać swoje życie dla Niego."

Po pierwszej nastąpiła druga seria Mszy. Potem przerwa, Tertia, Sexta, Nona i Msza uroczysta. Kościół był teraz pełen światła. Zakonnicy stali w ławkach ustawionych wzdłuż kościoła w kilku rzędach pod ścianami, śpiewając psalmy. Wstawali i klękali naprzemian, zwracając się twarzą do ołtarza, lub składając głęboki ukłon zwróceni ku środkowi kościoła. Od czasu do czasu któryś z zakonników oddzielał się od reszty i podchodził do ołtarza, służąc przy odprawianiu Mszy." Zgubienie się w całości było tu zaletą. Najlepszym był ten, który najmniej rzucał się w oczy, najmniej się wyróżniał. Tylko błąd lub pomyłka mogła zwrócić uwagę na poszczególnego zakonnika. Nie tak jak w świecie, gdzie ludzie wysuwają się naprzód i najlepszym jest ten, który się najbardziej wyróżnia.

Jakaż jest odpowiedź na ten paradoks? Zakonnik ukrywający się od świata nie jest mniej sobą, nie zatraca swej osobowości, ale, przeciwnie ją odnajduje. Jest prawdziwie i w doskonalszy sposób sobą, gdyż jego osobowość i indywidualność udoskonalają się w odpowiednim porządku, według duchowych wewnętrznych praw, prowadzących do zjednoczenia z Bogiem, Źródłem wszelkiej doskonałości."

Tego dnia, kiedy Merton przyjechał, wstępował do zakonu nowy postulant. Merton, patrząc z balkonu w tyle kościoła, widział jego ciemne ubranie odcinające się na tle rzędów biało ubranych zakonników. „Tak było przez kilka dni... Potem nagle zniknął. Był w Bieli. Dano mu habit oblata i nie można go już było odróżnić od reszty. Wody zamknęły się ponad jego głową, zatonął w zgromadzeniu, zgubił się, świat nie usłyszał o nim więcej."

Merton dopiero u Trapistów odnalazł swoją właściwą osobowość. Jego talent pisarski rozwinął się w pełni, obudził się w nim poeta. Właśnie teraz, kiedy już nie pragnął rozgłosu, zasłynął jako pisarz na całą Amerykę i Anglię. Na cały świat...

Halina Gorgolewska.

TOMASZ MERTON

PIERWSZA MSZA ŚW.

(Dokończenie ze strony 1-ej)

pulsowi temu poddałem, nie poniósł mnie i nie porwał, ażeby zdeptać w gwałtownym rozpędzie, lecz prowadził łagodnie, z pewnością kierunku i celu.

Nie znaczy to, aby uczucia moje podporządkowały się całkowicie. W rzeczywistości bałem się nadal iść w towarzystwie innych ludzi do katolickiego kościoła, i to tylko w tym celu, wystawić się w ławce na widok publiczny i narazić się na tajemne niebezpieczeństwa tej potężnej rzeczy, którą oni nazywają Mszą św.

Bóg dał piękną niedzielę. Ponieważ była to pierwsza na trzeźwo w Nowym Yorku spędzona niedziela, zdziwiła mnie czysta, cicha atmosfera pustych ulic miasta. Słońce świeciło jasno. Wychodząc z bramy domu, zauważyłem w końcu ulicy pas zieleni i niebieską rzekę, a za rzeką góry Jersey.

Broadway była opustoszała. Samotny tramwaj śpieszył wdół koło Barnard College i minął szkołę dziennikarzy. Wtem z pięknej wieży kościoła Rockefeller zaczęły bić olbrzymie dzwony. Oddawały one usługi, zwołując jakoby na Mszę świętą do ceglanego kościółka Corpus Christi, ukrytego poza budynkiem seminarium nauczycielskiego na 121-st Street.

Ludzie wchodzili przez szeroko otwarte drzwi w chłodny mrok. W tej chwili przypomniały mi się wszystkie kościoły Włoch i Francji, które widziałem. Bogactwo i pełnia atmosfery katolicyzmu, której nie mogłem nie dojrzeć i nie podziwiać jeszcze jako dziecko, powróciły we wspomnieniach.

Był to wesoły, czysty kościół, z dużymi, zwyczajnymi oknami, białymi kolumnami i pilastrami, z dobrze oświetlonym, prostym tabernaculum. Miał w sobie coś z XVII wiecznych kapliczek, jakkolwiek z pewnym nalotem prostoty amerykańsko-kolonialnej. Połączenie było efektowne i oryginalne; wszystko to zrobiło na mnie wrażenie, mimo że w danej chwili nie zdawałem sobie z tego sprawy. A jednak najwięcej uderzyło mnie to, że kościół był pełen, całkowicie pełen. I to nie tylko stare kobiety, nie starcy, z jedną nogą w grobie, stanowili większość, ale mężczyźni, kobiety, dzieci; starzy i młodzi, przeważnie zaś młodzi ludzie z wszelkich środowisk z przewagą robotników i ich rodzin.

Znalazłem sobie miejsce, jak najbardziej schowane, gdzieś w bocznej nawie z tyłu kościoła, i zająłem je nie przyklęknąwszy przedtem. Pierwsze co wpadło mi w oko, to młoda dziewczyna, ładna, mogła mieć 15 lub 16 lat. Klęczała wyprostowana i modliła się z powagą. To, że tak młoda, przystojna osoba mogła przyjść do kościoła tylko po to, aby się modlić, wywarło na mnie wrażenie. Klęczała bez pozy, nie dlatego, by się pokazać, modliła się z uwagą, może nie z głębokim przejęciem świętych, ale w skupieniu, które mówiło, że nie rozprasza ją otoczenie.

Co za odkrycie, znaleźć tylu zwykłych, normalnych ludzi, zebranych w jednym miejscu, bardziej świadomych obecności Boga, niż innych ludzi. Nie przyszli pochwalić się kapeluszami i strojami, ale po to, aby się modlić, a w najgorszym wypadku, aby spełnić obowiązek, który nałożyła religia nie ludzie. Bo nawet i ci, którzy przyszli tu bez żadnej wznioślejszej przyczyny, tylko z obowiązku, byli wolni od owego czysto ludzkiego zakłopotania i skrępowania, które zazwyczaj widzi się w protestanckich kościołach, gdzie ludzie zbierają się tylko jako ludzie, jako sąsiedzi i zawsze przynajmniej połowę jednego oka mają dla siebie nawzajem, jeżeli nie cały wzrok.

Ponieważ było to lato, Msza św. o godzinie 11-tej była Mszą cichą. Lecz nie przyszedłem tutaj po muzykę. Zanim się spostrzegłem przy ołtarzu znalazł się ksiądz z dwoma ministrantami, zajętymi czymś, czego nie mogłem dokładnie dojrzeć. Ludzie modlili się każdy dla siebie. Pochłonęła mnie całość. W równym stopniu absorbowało mnie to, co się działo przy ołtarzu, jak i obecność ludzi. Nawet teraz nie mogłem się pozbyć obawy. Widząc spóźniających się, którzy z pośpiechem przyklękali przed wejściem do ławek, zdałem sobie sprawę z mojej poprzedniej pomyłki; ogarnęła mnie myśl, że ludzie biorą mnie za poganina i czekają tylko, na moją nową pomyłkę, by mnie wyrzucić a już conajmniej miotać w moją stronę karcące spojrzenia.

Wkrótce wszyscy wstaliśmy. Dlaczego? — nie wiedziałem. Ksiądz stał po jednej stronie ołtarza i, jak mnie potem nauczono, czytał ewangelię. Po chwili ktoś znalazł się na ambonie. Jakiś młody ksiądz, może miał niewiele ponad 33 lata. O szczupłej ascetycznej twarzy. Rogowe okulary jeszcze bardziej podkreślały jego ascetyczny wygląd dodając kapłanowi jakby pewnej aury intelektualizmu, chociaż był to tylko jeden z wikarych i za intelektualistę się nie uważał i nie był też za takiego uważany. Przynajmniej takie wrażenie zrobił on na mnie, a jego kazanie, chociaż dość proste, utwierdziło mnie w tym.

Nie trwało długo. Było to bardzo ciekawe słuchać tego młodego człowieka, spokojnie wyjaśniającego szczegóły nauki katolickiej językiem prostym, choć zabarwionym scholastyczną terminologią. Jakże przejrzysta i rzetelna była to nauka. Pod powłoką słów czuło się ciężar gatunkowy doktryny, zawartej nie tylko w Piśmie Św., ale w tradycji narastającej nieustannie poprzez wieki. I co więcej, tradycję tę cechowała żywotność. Nie było w niej nic przestarzałego lub czysto akademickiego. Te słowa, ta terminologia, ta doktryna, te przekonania padały z ust młodego kapłana jako najgłębszy wyraz jego istoty. Co więcej, u słuchaczy wyczułem zrozumienie nauki, która i dla nich, w odpowiedniej proporcji do ich świeckiego stanu, była istotną sprawą życia; tak była wchłoniona przez ich duchowy organizm, jak powietrze, którym oddychali lub pokarm, którym się żywili.

I o czym mówił? Że Chrystus jest Synem Boga, że w Nim, jako w Drugiej Osobie Trójcy Świętej Bóg przybrał naturę ludzką: ludzkie ciało i duszę i zamieszkał między nami, pełen prawdy i przebaczenia, i że ten Człowiek, którego ludzie nazywali Chrystusem był Bogiem; i Bogiem i Człowiekiem: dwie natury złączyły się hipostatycznie w jednej osobie, Osoba Boska przybrała naturę ludzką i Jego dzieło było dziełem Boga, i jego czyny czynami Boga. On nas kochał, Bóg, a chodził między nami, Bóg z Boga, Światłość z Światłości, Bóg prawdziwy z Boga prawdziwego.

A skąd my o tym wiemy? Zostało nam to objawione w Piśmie Św. i potwierdzone przez naukę Kościoła i przez potężną jednomyślność katolickiej tradycji od apostołów i pierwszych papieży, poprzez Ojców, wielkich doktorów i scholastyków aż do naszych czasów. „De Fide Divina". Jeżeli uwierzysz, otrzymasz światło, ażeby pojąć, zrozumieć w pewnym chociaż stopniu. Bez światła wiary nie zrozumiałbyś nigdy, byłoby dla ciebie niczym, zgorszeniem lub szaleństwem.

I nie można w te rzeczy uwierzyć przez sam fakt pragnienia, z własnej tylko woli. Bez Łaski, bez rzeczywistego światła od Boga, bez pobudki dla rozumu i woli nie można wzniecić w sobie nawet aktu żywej wiary. Tylko Bóg może dać nam wiarę i nikt nie zbliży się do Chrystusa, jeżeli Bóg Ojciec go nie powoła.

Ciekaw jestem, jakimi drogami potoczyłoby się moje życie, gdybym otrzymał tę Łaskę wtedy, kiedy prawie że odkryłem Bóstwo Chrystusa, wpatrując się w stare mozaiki w kościołach w Rzymie. Ileż to samobójczych i chrystobójczych grzechów można by było uniknąć — całego tego błota, którym oblepiłem Jego obraz w mojej duszy, po przez tych 5 lat biczowania i krzyżowania Boga w sobie!

Łatwo jest po tym wszystkim powiedzieć, że Bóg prawdopodobnie przewidział moją niewierność i nie udzielił mi w owym czasie Łaski, gdyż wiedział, jakbym ja tę Łaskę zmarnował i Nią wzgardził. Takie odtrącenie mogłoby być moją zgubą. Niewątpliwie jedną z przyczyn, dla których Łaska nie zostaje ludziom dana, jest, że wola ich tak skostniała przez chciwość, okrucieństwo i egoizm, że odtrącenie Łaski utwierdziłoby tylko w uporze. Teraz jednak, pokonany przez złe samopoczucie, pomieszanie pojęć i powikłania oraz tajemną wewnętrzną obawę, zostałem doprowadzony do stanu, który możnaby nazwać pokorą. Moja przeorana dusza stała się lepszym gruntem na przyjęcie dobrego ziarna.

Kazanie było takie, jakiego mi tego dnia było właśnie potrzeba. Kiedy Msza katechumenów skończyła się, nie mogłem zrozumieć niczego więcej. Nie byłem przecież nawet katechumenem, tylko ślepym, głuchym i niemym poganinem, tak słabym i zbrukanym, jak ktoś, jak coś, co mogło tylko wyróść na tle ciemności Rzymskiego Imperium, Koryntu lub Efezu.

Wszystko stało się całkiem tajemnicze z chwilą, gdy ośrodek uwagi skupił się znowu na ołtarzu. Kiedy cisza wzrastała coraz bardziej i dzwonki odezwały się od ołtarza, strach wrócił że wreszcie przyklęknąwszy śpiesznie na jedno kolano, wybiegłem z kościoła w połowie najważniejszej części Mszy św. Może i dobrze się stało. Przypuszczalnie działałem pod wpływem jakiegoś liturgicznego instynktu, który mi mówił, że nie ma tu miejsca dla mnie w czasie celebrowania samej istoty tajemnic. Nie znałem wprawdzie jej treści. Było jednak faktem, że Chrystus Bóg miał być widzialnie obecny na tym ołtarzu pod postaciami chleba i wina. Chociaż był on tam — tak jest — z miłości ku mnie: był tam obecny w całej swej mocy i potędze. A czym byłem ja? Co było w mojej duszy? Czym byłem w Jego oczach?

Było liturgicznie właściwym, abym pod koniec Mszy katechumenów wyrzucił sam siebie kopniakiem, jakkolwiek powinni się tam zjawić słudzy kościelni, aby to uczynić. Tak czy inaczej, zostało to dokonane.

Spacerowałem teraz leniwie po zalanej słońcem Broadway, a moje oczy widziały wokoło jakiś nowy świat. Nie mogłem pojąć co się właściwie stało, że byłem tak szczęśliwy, że miałem w sobie tyle spokoju i zadowolenia z życia.

Wiem tylko jedno: spacerowałem wtedy po świecie nowym. Nawet szpetne budynki Columbii wydały się odmienione. Wszędzie panował spokój na tych ulicach, pełnych zazwyczaj huku i gwałtownego ruchu. Siedząc przed ponurą restauracją „Little Child'a" na 111-th Street, poza zakurzonymi drzewkami rosnącymi w drewnianych pudłach, czułem się jak gdybym siedział na Polach Elizejskich.

Thomas Merton

(Przekład: Halina Gorgolewska)

Z KRAJU

Samorzutna procesja

Dobrze redagowany biuletyn informacyjny Koła „Veritas" we Fryburgu (Szwajcaria) przynosi następującą ciekawą wiadomość z Polski:

W niedzielę dnia 26 marca br. odbyło się w Katedrze Wawelskiej uroczyste nabożeństwo pasyjne, które odprawiał X. Kardynał Sapieha. Po nabożeństwie odbywała się zwykle procesja, której w tym roku władze kościelne wolały zaniechać. Po nabożeństwie Kardynał został zaniesiony na rękach do swego domu.

Rosnące z każdą chwilą tłumy uformowały samorzutnie olbrzymią procesję, która udała się przez miasto do kościoła N.M. Panny. Ludzie zapełnili Kościół i Rynek, tramwaje i cały ruch uliczny zostały zatrzymane, czemu się zresztą milicjanci tylko miękko sprzeciwiali. Po zaintonowaniu „Gorzkich Żalów". tłum rozszedł się spokojnie do domów.

* * *

Z żałobnej karty
Ś.p. X. Prof. dr I. Grabowski

Dnia 28 marca br. zmarł w Warszawie przeżywszy lat 72 X. Ignacy Grabowski, doktór św. Teologii i Prawa Kanonicznego, Oficjał Sądu Metropolitalnego, profesor Uniwersytetu Warszawskiego.

Ś.p. X. Ignacy Grabowski był profesorem prawa Kanonicznego na wydziale Teologii Uniwersytetu Warszawskiego, a przez pewien czas wykładał również prawo kanoniczne na Wydziale Prawa tegoż Uniwersytetu. Był autorem wielu poważnych prac z zakresu prawa kanonicznego, znanym i cenionym w nauce polskiej i zagranicą. Między innymi był autorem pierwszego podręcznika uniwersyteckiego prawa kanonicznego, opartego na wydanym za pontyfikatu Papieża Benedykta XV w roku 1917 Nowym kodeksie prawa kanonicznego (Codex iuris canonici).

Ś.p. X. Ignacy Grabowski poza głęboką wiedzą odznaczał się wielką dobrocią i ujmującym obejściem. Liczni jego uczniowie z Wydziału Prawa Uniwersytetu Warszawskiego zwłaszcza ci, którzy w końcu 1920 i początku 1921 roku po zdjęciu mundurów wojskowych powrócili na ławy uniwersyteckie do przerwanych studiów zachowali we wdzięcznej pamięci niezwykle życzliwy stosunek i zrozumienie dla trudnych warunków nauki w pierwszych latach powojennych.

Cześć Jego pamięci.

* * *

Nowe sądownictwo

W Krakowie odbyła się pierwsza wojewódzka konferencja Związku Zawodowego Pracowników Sądowych i Prokuratorskich, poświęcona omówieniu osiągniętych dotychczas wyników pracy.

Na konferencji — jak donosi prasa krajowa — przeprowadzono samokrytykę i analizę dotychczasowej działalności, by, unikając popełniania błędów. towarzyszyć klasie robotniczej w jej marszu do socjalizmu.

Po przemówieniach przedstawicieli partii, okręgowej rady związków zawodowych i zarządu głównego Zw. Zaw. Prac Sądowych i Prokuratorskich zabrał głos miejscowy działacz tego Związku T. Królik, „który w obszernym referacie zobrazował rolę i zadania Związku, podkreślając, że przed związkami stoją zadania zacieśnienia więzów z masami oraz podniesienia poziomu wymiaru sprawiedliwości przez klasowe podejście do orzecznictwa, przy równoczesnym zwalczaniu przerostów biurokratycznych".

Związek Zawodowy Pracowników Sądowych i Prokuratorskich, jak to choćby zresztą widać z przebiegu wspomnianej konferencji, ma wyznaczoną bardzo poważną rolę w organizacji wymiaru sprawiedliwości i wielki wpływ na ten wymiar. Do Związku muszą należeć zarówno sędziowie i prokuratorzy, jak i urzędnicy sądowi i prokuratorscy oraz woźni i pracownicy fizyczni sądów i prokuratur.

*

Odbudowa Bazyliki św. Jana w Toruniu

Zostało zrekonstruowane i odnowione wnętrze prezbiterium Bazyliki św. Jana, która — obok kościoła św. Jakuba — należy do najstarszych kościołów toruńskich.

Podczas prac restauracyjnych odkryto i zrekonstruowano freski, pochodzące z XIV wieku. Na szczególną uwagę zasługują dwa freski, przedstawiające Św. Jana Chrzciciela i św. Jana Ewangelistę, które — mimo, iż liczą prawie 600 lat — przetrwały w nadspodziewanie dobrym stanie, oraz olbrzymi fresk nad wejściem do zakrystii, przedstawiający „Sąd Ostateczny". Ten ostatni fresk jest, niestety, w kilku miejscach zniszczony. Odkryto i zrekonstruowano również piękne zworniki ślicznego sklepienia gwiaździstego oraz odrestaurowano cztery wysmukłe okna, w które w najbliższym czasie mają być wprawione witraże.

Otwarcie prezbiterium przewidziane jest późną jesienią bież. roku.

Rekonstrukcja i restauracja Bazyliki św. Jana odbywa się pod kierownictwem prof. Narębskiego — prace architektoniczne — i prof. Hopena — prace malarskie.

*

Biblioteka Uniwersytecka w Warszawie

Biblioteka Uniwersytecka — największa z bibliotek warszawskich — liczy obecnie 1.159.000 książek i czasopism, ponad 43.000 rysunków i rycin,1500 rękopisów i 780 map i atlasów.

W ciągu roku akademickiego 1948-1949 zbiory Biblioteki Uniwersyteckiej powiększyły się o 26.173 dzieła (w 40.544 tomach) z darowizn i 1.845 dzieł (2337 tomów) drogą kupna.

Wśród dzieł zakupionych znajdują się m.in.: cenny zbiór dyplomów pergaminowych z lat 1249 — 1569, zawierający przywileje i inne ważne dokumenty życia gospodarczego Polski podpisane przez królów Kazimierza Jagiellończyka i Zygmunta Augusta, książąt Mazowieckich Ziemowita i Konrada i t.d., niezwykle cenne wydawnictwo „Acta Sanctorum", obejmujące 70 tomów najważniejszych źródeł do historii średniowiecza oraz fragmenty archiwum Józefa Wybickiego, stanowiące resztkę spuścizny po znakomitym twórcy hymnu narodowego „Jeszcze Polska nie zginęła". Część tego archiwum została ogłoszona przez Tow. Przyjaciół Nauk w Poznaniu w r. 1948. Uratowane fragmenty wywieziono we wrześniu 1939 r. z Poznańskiego do Warszawy i przechowywane w piwnicach podczas powstania, ocalały niezwykłym zbiegiem okoliczności.

Ponadto Biblioteka otrzymuje stale 965 czasopism naukowych, w tej liczbie 422 polskie i 543 obce. Nie mamy danych ile wśród czasopism obcych jest sowieckich oraz krajów, znajdujących się pod okupacją sowiecką.

W roku akademickim 1948 - 1949 wypożyczono z Biblioteki 33.529 tomów. Z czytelni głównej korzystało 29.304 osoby.

* * *

Wystawa historii książki.

Biblioteka Publiczna w Warszawie przygotowuje stałą wystawę obrazującą historię książki.

Zebrano na wystawę 150 eksponatów, z których część stanowią starodruki.

Najstarsza książka napisana była w 16 wieku. Przy każdym eksponacie umieszczone będą napisy objaśniające.

Wystawa otwarta będzie w początkach maja, w odbudowanym pawilonie magazynu Biblioteki Głównej przy pl. Koszykowej.

* * *

T E A T R

Jubileusz M. Ćwiklińskiej

W tym roku upłynęło 50 lat pracy scenicznej Mieczysławy Ćwiklińskiej.

Znakomita aktorka znana kilku pokoleniom miłośników teatru obchodziła swe złote gody z Melpomeną rolą Dulskiej w sztuce „Moralność pani Dulskiej" Gabrieli Zapolskiej, wystawionej w Teatrze Nowym w Warszawie.

Krytyka podkreśla, że jakkolwiek rola ta raczej nie odpowiadała wielkiemu talentowi jubilatki, Ćwiklińska potrafiła stworzyć z niej prawdziwą kreację.

Wielkiej artystce życzymy przy tej okazji „Ad multos aunos".

WŚRÓD CZASOPISM BRYTYJSKICH

STARE i poważne czasopisma brytyjskie — jak „Truth“, „Spectator“. „Observer“, „Times Literary Supplement“ — czy nawet najmłodsze w rodzaju „New Statesman and Nation“ lub „Public Opinion“ — to wszystko instytucje bardzo szanowne i solidne. Ich służba informacyjna jest szybka i pewna, poziom publicystyczny wyrównany, technika pracy redakcyjnej wysokiej klasy. Co więcej, jak zapewniali mnie ludzie wtajemniczeni, są to pisma nieprzekupne: bez ukrytej reklamy, bez dętych, protekcyjnych recenzji, które w prasie francuskiej zbyt często kupuje się za pieniądze lub wyłudza przez stosunki.

A jednak dłuższa i systematyczna lektura periodyków angielskich nie tylko nudzi, ale sprawie wprost przygnębiające wrażenie. Długo broniłem się przed tym negatywnym odczuciem, podejrzewając, że grają tu rolę jakieś wady mego własnego, niedoskonałego odbioru lub polityczne uprzedzenia. Ostatecznie dochodzę jednak do wniosku, że podobnego wrażenia próżni i niedosytu musi przy czytaniu periodyków brytyjskich doznawać każdy Europejczyk z Kontynentu. Nie są to pisma europejskie w tym sensie jak my rozumiemy ten przymiotnik: wszystkie one, bez względu na przynależność partyjną, są mniej lub więcej nacjonalistyczne.

Obcowanie z periodyczną prasą angielską utwierdziło mnie w przekonaniu, iż Anglicy są najzaciętszymi nacjonalistami wśród wszystkich narodów świata. Jeśli nie mówi się o tym głośno, to dlatego, że istnieje jakaś milcząca — z gruntu fałszywa — konwencja, identyfikująca nacjonalizm z doktryną nacjonalistyczną. Anglicy nie uznają doktryn (jak wogóle teoretycznego i syntetycznego myślenia), nie używają nigdy w stosunku do siebie rzeczownika „nacjonalizm“ jakoś zdołali wmówić światu, że nacjonalistami nie są. Mają jednak szczególną słabość do słowa „narodowy“. Każdy obywatel brytyjski, ba, nawet każdy cudzoziemiec musi posiadać **„National** Registration Identity Card“, należeć do **„National** Health Service“ i kupować co tydzień **„National Butter“** na kartki. Służba społeczna dla ubogich jest także „narodowa“. **„National** Assistance Board“.

Analiza periodyków angielskich wykazuje, że 90% omawianych tam spraw dotyczy wyspy albo imperium.

Z pomiędzy wierszy każdego niemal tygodnika, czy miesięcznika przebija stale jakiś nieokreślony, prowincjonalny, wyspiarski zapach, snuje się, cicho, bardzo dyskretnie wyszeptany slogan: **„right or wrong — my country“.**

I jeszcze jedno: większości pism angielskich brakuje jakiegoś czwartego wymiaru: te wszystkie rozważania ekonomiczne, te sprawy brzucha, wałkowane bez końca i na różne sposoby, te biografie, przyczynki do rodzimej historii, literatury, czy sztuki, te małostkowe listy do redakcji i tradycyjne sporty, rozrywki i krzyżówki, te porady w sprawach handlowych i pieniężnych — to wszystko jest tak praktyczne i przyziemne, że prawie nierealne. Chwilami odnoszę wrażenie, że ta publicystyka (celuje w niej pismo kapitalistów „Truth“ ze swymi tasiemcowymi komentarzami) obraca się w absolutnej pustce etycznej i metafizycznej. Każdy z tych artykułów, czy przeglądów zdaje się mówić: „jesteśmy tu na najlepszym ze światów, na najlepszej zielonej wyspie; chodzimy na czworakach, nie patrzymy w niebo, nie jesteśmy ciekawi niczego więcej, chcemy tacy pozostać“.

Jeśli chodzi o zainteresowania ogólnoludzkie lub choćby europejskie, to jaskrawym i miłym wyjątkiem jest prasa periodyczna katolicka. Taki „The Tablet“, a zwłaszcza „Month“ nie tylko poświęcają wiele miejsca sprawom innych krajów (oba pisma stale obszernie omawiają sprawy polskie, podają pełne teksty oświadczeń episkopatu etc.), ale nawet sprawy brytyjskie omawiają z szerszej perspektywy, w sposób bardziej syntetyzujący i europejski. Nie jest przypadkiem, że wszyscy niemal wybitni katolicy angielscy są zarazem wybitnymi Europejczykami, by wymienić tylko Grahama Greene'a, Evelyna Waugh, czy Bruce Marshalla, czy Christopfera Dawson'a lub O. Vann'a O. P.

Nie jest przypadkiem, że najciekawsze ujęcia problemów ogólnych znajdujemy właśnie w periodykach katolickich. Ostatnio miesięcznik **„Month“** publikuje w każdym numerze wypowiedzi wybitnych pisarzy (nie koniecznie katolików) na temat dokonań i znaczenia ostatnich dziesięciu lat. W ankiecie tej, zatytułowanej **„A Decade in Retrospect“** zabrał głos w numerze kwietniowym F. A. Voigt.

OSTATNIE DZIESIĘĆ LAT

W uwagach wstępnych zajmuje się Voigt sprawą cywilizacji i możliwością jej upadku.

„Być może — pisze —, czeka nas trzecia wojna światowa, może będzie użyta bomba atomowa, a zniszczenie będzie większe od wszystkich dotychczasowych. Ale czy znaczy to, że ma nastąpić upadek cywilizacji? A może nasza cywilizacja odrodzi się — i będzie bardziej, wyłączniej naszą? (...) Człowiek cywilizowany nie jest „lepszy“ od człowieka pierwotnego — jest tylko bardziej ucywilizowany. Wspaniałość nawet najwyższej cywilizacji jest do głębi, w sposób niewymazalny przesiąknięta złem. Najpilniejszym pytaniem naszego czasu nie jest „Co stanie się z cywilizacją?“ — lecz: „Co się stanie z człowiekiem?“ A mówiąc „człowiek“, nie mam na myśli „ludzkości“ ani „szarego człowieka“, ani nawet niezwykłego człowieka, a już najmniej chodzi mi o „kolektywnego człowieka“. Myślę o człowieku stworzonym na obraz i podobieństwo Boga.

„Szatan jest duchem bezkształtnym i nic nie może być stworzone na jego podobieństwo. Mimo to jego wiecznym dążeniem jest przetworzenie obrazu Boga na swój własny. Ponieważ zaś obraz szatana jest bezkształtny, może on tylko zmienić kształt w bezkształtność (...) w zamieszanie. Groźba dla cywilizacji jest przejściowa i w ostatecznym rachunku, prawdopodobnie niezbyt wielka. To człowiek jest zagrożony.

„Ostatnie dziesięć lat nie miały wyraźnej treści: były to lata najstraszliwszego zamieszania i nieładu. Ludzie potrafili prowadzić wojnę, ale są niezdolni do stworzenia pokoju. Łatwo było wojować, bo wojna może być organizowana. Pokój nie może być zorganizowany, gdyż jest sprawą organiczną. Nigdy człowiek nie był tak bezsilny, jak w ciągu tych lat dziesięciu — nawet w swych „prymitywnych“ czasach: (...) Jawne zamieszanie tych lat poprzedził nieład myślenia. Pomieszanie na zewnątrz zaczyna się w duszy człowieka: Babilon był tylko dziełem babilońskiego serca“.

W dalszym ciągu swego świetnie napisanego essay'u podaje Voigt trzy najsilniejsze przeżycia własne w ciągu ostatnich dziesięciu lat: walkę powietrzną o W. Brytanię, walkę z komunistami o Grecję i walkę o Berlin. Autor deklaruje się jako Europejczyk. Pisze, że resztę życia chciałby spędzić w Anglii, ale gdyby był gdziekolwiek w Europie — nigdzie nie czułby się wygnańcem. Chętnie odwiedziłby jako gość Amerykę, ale nie mógłby tam znaleźć szczęścia: „wolałbym być nieszczęśliwy w Anglii, niż szczęśliwy w Ameryce“ — pisze.

Nadzieje na odrodzenie Niemiec opiera F. A. Voigt na ciekawej przesłance:

„Czy dojdzie do odrodzenia Niemiec — nie wiem. Wiem tylko, że odrodzenie jest możliwe; mam nadzieję, tylko słabą nadzieję, że z Niemiec pójdzie na Europę chłodny powiew i że te demonologie, które fałszywie nazywamy ideologiami, znajdą się w obliczu realizmu kraju, gdzie demony zostały spętane i wyegzorcyzmowane, kraju, w którym nie polityka, nie nauka, ani jakaś laicka doktryna — lecz teologia przeżywa teraz okres nowego wzrostu. Oto najważniejsza lekcja ostatnich lat dziesięciu: nie ma realizmu bez teologii“.

Rozważając w rozdziale trzecim pojęcie „wydarzenia historycznego“, autor dochodzi do wniosku, że wszystkie fakty są niepewne, gdyż zależne od naszego kruchego osądu. Widzi tylko trzy wyjątki: grzech pierworodny, jako początek Czasu (gdyż Raj był poza czasem), Odkupienie i Sąd Ostateczny, który będzie końcem Czasu. Pod kątem tych trzech wydarzeń należy rozpatrywać wszystkie inne. Epokę obecną charakteryzuje coraz bardziej słabnące poczucie tej prawdy, któremu towarzyszy oddalanie się od natury. Tracimy, a może już straciliśmy poczucie związania z naturą, gdyż zatarło się w umyśle człowieka pojęcie pierwszego upadku, a wraz z nim pojęcie Raju, który był naturą w jej właściwej formie i będzie nią znowu.

„Człowiek, robiąc użytek ze swej wolnej woli, zerwał z Bogiem i z naturą“ — pisze Voigt. — „Gdzie się właściwie znajduje? Dokąd teraz pójdzie? Nie ma już gdzie się udać! Będzie nareszcie zupełnie wolny. Ale od czego wolny i po co wolny? Od wszystkiego i dla niczego! Wola jego będzie wciąż wolna, ale już nie będzie niczego, na co mogłaby się skierować. Wolność straci wszelkie znaczenie, bo wszystko już będzie bez sensu. Oto stan, do jakiego zmierzamy i którego przedsmakiem jest chaos w dziedzinie myśli“.

Przechodząc do ostatecznych wniosków osobistych o własnym kraju i własnym Kościele (anglikańskim), autor stwierdza, że w ciągu ostatnich lat dziesięciu widać przewagę zła i potężnienie Antychrysta.

„Ostatecznie charakteru dawnej epoki nie określa ani sztuka, ani nauka, ani filozofia lub porządek socjalny czy polityczny, ani nawet jego „cywilizacja“. To wszystko i cały charakter danego czasu zależą od jego religii (...). Oto artykuły wiary naszego czasu: religia bez Boga; Chrześcijaństwo bez Chrystusa; niebo bez piekła; dzieła bez wiary; Bóg miłości, ale nie gniewu; kościół, który może błogosławić, ale nie przeklinać. Wierzymy, że Bóg, wszechmocny i osobowy, jest dobrodusznym Duchem; że szatan nie istnieje; że Chrystus był autorem etycznego kodeksu, ale nie Bogiem-Władcą ukrzyżowanym (...). Wszystkie artykuły naszej wiary streszczają się w formułce „etyka chrześcijańska“. „Etyka chrześcijańska“ — to Antychryst Zachodniego Świata, to najbardziej podstępne i najgroźniejsze zepsucie, jakie kiedykolwiek toczyło świat. A Anglia i jej Kościół są wiernymi twierdzami tego zepsucia. „Chrześcijańska etyka“ (...) — to brama, przez którą wszystko może wejść, droga, którą każdy może deptać. Otwarta jest ta brama, szeroka jest ta droga, ale nie ma tam krzyża. Dokądkolwiek prowadzi — do wolności, do równości, do demokracji, do pokoju, do „cywilizacji“ — prowadzi zdala od Krzyża.

„Oto co znaczy i czego dokonał ostatni dziesiątek lat. Przeprowadził nas przez szeroko rozwartą bramę, na szeroką drogę. Posadził Antychrysta na tronie — na jeden sposób w świecie zachodnim, inaczej w imperium rozciągaającym się od Łaby aż po Morze Żółte“.

Odpowiedź na ankietę kończy Voigt akcentem nadziei.

„W czym nasza nadzieja?“ — pyta. I zaraz odpwiada: „W głodzie i pragnieniu! Niebezpieczeństwo — właściwie jedyne niebezpieczeństwo — tkwi w tym, aby głód i pragnienie nie pozostały zaspokojone czczą strawą „etyki chrześcijańskiej“ i aby naród nie był najedzony, ale nie pokrzepiony. Lecz są znaki — nawet w Anglii, nawet w jej Kościele, że rośnie nieufność do fałszywych proroków, że naród już nie pragnie, aby zostało tak jak jest. W głodzie, w gryzącym głodzie i palącym pragnieniu jedyna nasza nadzieja: „nie w głodzie chleba, ani w pragnieniu wody — ale w głodzie Słowa Bożego“.

KATOLICY AMERYKAŃSCY

Erik Von Kuehnelt-Leddihn, odwiedziwszy po paru latach ponownie Stany Zjednoczone, gdzie wygłosił cykl wykładów w licznych miejscowościach i zetknął się z wieloma przedstawicielami tamtejszych kół katolickich, zamieścił w „The Tablet“ interesującą charakterystykę amerykańskiej gałęzi Kościoła katolickiego. Obserwatora zagranicznego uderza przede wszystkim fizyczna ekspansja Kościoła: nowe świątynie, seminaria, szpitale. Obszerne siedziby wiejskie powoli zanikającej plutokracji przechodzą prawie z reguły w ręce parafii i instytucji katolickich, a ponieważ nie płacą one żadnych podatków, zjawisko to spotyka się z wrogą reakcją inowierców, wzmacniającą wyraźnie rysujący się prąd nowego antykatolicyzmu. Bojowo antykatolicka książka niejakiego Blansharda była jednym z best-sellerów amerykańskich.

Tej ekspansji materialnej Kościoła towarzyszy szybkie wznoszenie się katolików amerykańskich po drabinie społeczno-towarzyskiej, co wyraża się notowaniem nazwisk coraz liczniejszych rodzin katolickich w t. zw. „Social Register“, który jest czymś w rodzaju herbu w dawnej Europie. Ponieważ naród amerykański ma szczególny kult dla powodzenia i wysokiej pozycji społecznej (jest to, dodajmy od siebie, szczególnie wstrętna forma snobizmu), więc mnożenie się w fortun katolików i ich inwazję na wyższe pozycje towarzyskie społeczeństwo przyjmuje z respektem, niekiedy rezerwując sobie prawo do zimnej wrogości, jaką równy okazuje równemu.

W Ameryce panuje powszechna świadomość, że tamtejszy katolicyzm ma intelektualne zabarwienie neotomistycze, a katolicy zaliczają się do kół czytających książki, a nie tylko pobożne broszurki i pisemka, jak to było dawniej. Niekatoliccy wydawcy zabiegają bardzo o katolicki rynek czytelniczy. Jednocześnie coraz częściej identyfikuje się katolicyzm z religią w ogóle. Jeśli Amerykanin mówi o religijnej powieści, religijnym filmie lub wychowaniu — to z reguły ma na myśli literaturę, sztukę, czy szkoły katolickie. Protestantyzm natomiast uważany jest za czynnik cywilizacyjny (w niemieckim, Spenglerowskim znaczeniu).

Mimo tych wszystkich postępów Kościoła, przyszłość katolicyzmu amerykańskiego nie wydaje się autorowi artykułu różowa. Przede wszystkim katolicy zamieszkują głównie miasta (taka była polityka osadnicza: gromadzenie się wokół parafii), a ośrodki miejskie mają daleko mniejszy przyrost naturalny od terenów wiejskich. Po drugie szkoła amerykańska jest laicka i katolicy muszą ponosić olbrzymie koszta utrzymywania swych szkół parafialnych, a wiele rodzin katolickich posyła dzieci do szkół świeckich. To powoduje „wyciekanie“ poważnej liczby wiernych i zwiększa liczbę niepraktykujących. Głównie dlatego liczba przynależnych do wyznania katolickiego (szacowana na 38 do 44 milionów) odbiega bardzo od ilości osób zapisanych w rejestrach parafialnych (26 milionów). W kongresie katolicy nie mają dość silnej w stosunku do swej liczebności reprezentacji. Tylko w dwóch dziedzinach życia publicznego odnieśli zdecydowane sukcesy: w walce z użyciem środków zapobiegających ciąży (przeforsowanie odpowiedniego ustawodawstwa w niektórych stanach Nowej Anglii) i w akcji zmierzającej do przestrzegania 6-tego przykazania w sztuce filmowej („Liga Przyzwoitości“, której działalność jest naszym zdaniem, wybitnie jednostronna).

Kończąc swoje interesujące sprawozdanie, Kuehnelt-Leddihn stwierdza, że typ życia religijnego kierowanego przez duchowieństwo utrzymuje się ciągle w Stanach Zjednoczonych. „Stary klerykalizm — pisze — ciągle jeszcze trwa w Ameryce i powstaje pytanie, czy katolicyzm amerykański potrafiłby istnieć pod reżymem dyktatorskim, zdecydowanym na całkowite wyniszczenie duchowieństwa?“

Autor artykułu odpowiada na to pytanie powątpiewaniem, a następnie przechodzi do czasopiśmiennictwa i szkolnictwa katolickiego, które poziomem swym nie dorównuje nauczaniu świeckiemu i wyraża przekonanie, że Ameryka potrzebuje nowego typu samodzielnie myślących i działających katolików. Typ taki już zaczyna powstawać wokół starego czasopisma „Catholic Worker“ i w oparciu o nowe pisma: „Integrity“ i „Today“. Ośrodki te odznaczają się świeżością, odwagą i stawianiem wyżej wartości niż ilości.

O FETYSZYŹMIE FAKTÓW

Wracam do punktu wyjścia tego przeglądu czasopism angielskich. Lektura ich dla Anglika, być może bardzo zabawna, jest naogół męcząca i deprymująca dla Europejczyka, a zwłaszcza dla Polaka, przyzwyczajonego do szerszego oddechu. Na szczęście są wyjątki. Z radością znajduję czasem w bezpartyjnym tygodniku „Time and Tide“ świeży, europejski wiatr. W ostatnim numerze współpracownik tego pisma, podpisujący się pseudonimem Diogenes, zamieścił artykuł pt.: „The Fetischism of Facts“. W sercu człowieka dwudziestego wieku — czytamy tam —, panuje rozpacz, której wyrazem jest lęk i nienawiść do życia. Ponieważ zaś człowiek jest tak skonstruowany, że musi przenosić swe emocje wewnętrzne na świat zewnętrzny, więc rzutuje swoją nienawiść na innych: na burżuazję, na Żydów, na klasę rządzącą itp. Zarówno nazizm, jak bolszewizm są wyrazami czarnego nihilizmu. Dalej zapytuje autor, jaka jest przyczyna rozpaczy współczesnego człowieka i odpowiada, że obecna rzeczywistość jest więzieniem i to więzieniem dożywotnim. Nie zawsze tak było. Zanim świat opanowali uczeni i racjonaliści człowiek żył w dwóch światach: w materialnym, w którym był więźniem czasu i przestrzeni — i w świecie ducha, gdzie był wolny.

Dla większości współczesnych ludzi ten drugi świat został zniszczony: pozostało dla nich tylko więzienie materialnego bytu. Dlatego myśl człowieka zwraca się najpierw do wewnątrz — z rozpaczą, a potem na zewnątrz — z nienawiścią. Człowiek chce zniszczyć swe więzienie, ale postępuje jak Samson, który łamie kolumny świątyni, lecz wie, że dach jej spadnie na niego i jego prześladowców.

W dalszym ciągu swych rozważań zajmuje się autor stosunkiem faktu do prawdy. Fakt nie jest prawdą, lecz jedynie spostrzeżeniem uwarunkowanym naszymi ograniczonymi, trójwymiarowymi środkami poznania, zlokalizowanymi w czasie i przestrzeni. Widzimy świat jako trójwymiarowy, ale czy takim jest naprawdę? Przytoczywszy znane przykłady Leadbeatera i Uśpieńskiego o hipotetycznych istotach dwuwymiarowych, które widzą nasz świat zupełnie inaczej niż my, i dla których ta wizja jest faktem, sięga autor do cytat z poezji, aby udowodnić, że ludzie zawsze przeczuwali intuicją istnienie innej, przekraczającej nasze fakty rzeczywistości.

Przyczyna, dla której humanizm — pisze Diogenes — a więc zarówno socjalizm jak komunizm — nie może rozwiązać problemu człowieka, leży w tym, że traktuje człowieka wyłącznie jako istotę materialną. Celem tych kierunków jest uczynienie więzienia człowieka trochę bardziej wygodnym. Ale głębokim pragnieniem człowieka jest ucieczka z tego więzienia. Z punktu widzenia tego pragnienia bolszewik jest mózgiem w końskich okularach, a uczony krótkowidzem. W konkluzji autor dochodzi do wniosku, że warunkiem przywrócenia światu nadziei jest zbuntowanie się zarówno przeciwko bolszewikowi jak i przeciwko pseudouczonemu. „Chesterton mawiał zwykle — pisze Diogenes — że mając do wyboru bajkę lub „fakt naukowy“, zawsze wolał wierzyć w baśń. Czynił tak, bo zachował niesplamioną wrażliwość dziecka. Kto wie, czy po to, aby wydostać się z naszego ograniczonego zakresu poznania nie powinniśmy „stać się jak małe dzieci“. Bo choć wiemy, że mury więzienia otaczają nas teraz zewsząd, wiemy także, że w dzieciństwie otaczało nas niebo. Ono może powrócić do nas, jeśli fetyszyzm faktów zastąpimy poszukiwaniem prawdy“.

Można się zgadzać lub nie zgadzać z filozoficznymi i psychologicznymi wywodami i konkluzjami autora, który n.b. niesłusznie komunizm identyfikuje z humanizmem i zapomina o humanizmie chrześcijańskim i personalizmie katolickim. Nie można jednak zaprzeczyć, że walka z fetyszyzmem faktów jest w czasopiśmiennictwie angielskim zjawiskiem nad wyraz sympatycznym, choć, niestety, zupełnie odosobnionym.

St. Pał.

W piątek dnia 5 maja 1950 o godzinie 9.30
odprawiona zostanie w Kościele Polskim (Devonia Rd., N. 1 — dojazd kolejką ANGEL)

Msza święta żałobna

za spokój duszy

ś. p.

Anatola Krakowieckiego

KATOL. OŚRODEK WYD. „VERITAS“
REDAKCJA „GAZETY NIEDZIELNEJ“

JAN M. ROMANOWSKI

NOWE KSIĄŻKI

KIBUCE PRZECIW SOWIETOM

Książka Martina Bubera posiada, niewątpliwie, swój palestyński koloryt i znacznie odbiega od europejskiego sposobu patrzenia na sprawy socjalizmu. Ta odmienność patrzenia stanowi główny powód, dla którego treść książki Bubera zasługuje na zasygnalizowanie.

Uwagi Recenzenta stanowią wyraz Jego indywidualnych poglądów. Zdaniem Redakcji, są one zbyt ogólne, by mogły dopomóc w wyborze punktów wyjścia oceny tak skomplikowanego i różnorodnego zjawiska jakim jest dzisiejszy socjalizm w wielu jego przejawach-marxowskich i nie-marxowskich. RED.

ZNAKOMITY badacz tradycji chasydzkiej, mistyk żydowski i socjalista, Martin Buber, napisał książkę*), w której po przedstawieniu głównych zrębów pierwotnej myśli socjalistycznej tłumaczy, dlaczego marksizm nie realizuje socjalizmu. Główną jego tezą jest, że nie dopiero Lenin i Stalin, ale już Marks „zdradził rewolucję" dając zarówno w swym programie działania jak i w swojej krytyce socjalizmu pierwszeństwo motywom politycznym przed społecznymi. Zamiast wytwarzać komórki przyszłego społeczeństwa socjalistycznego, które przeobraziłyby strukturę społeczeństwa kapitalistycznego od wewnątrz i tak zmieniły jego treść, że rewolucja mogłaby się ograniczyć do zrzucenia starej skorupy i do odsłonięcia nowych, dojrzewających już form, marksiści położyli cały nacisk na organizacji walki klas, na przygotowanie rewolucji, która odebrałaby władzę kapitalistom a oddała ją w ręce komunistów.

Skutek jest taki, że rewolucja komunistyczna nie burzy centralistycznego państwa, by na jego miejsce postawić zdecentralizowane społeczeństwo socjalistyczne, ale centralizm zachowuje i nawet wzmacnia. Państwo socjalistyczne staje się szybko tyranem, który narzuca swą wolę wszystkim komórkom społecznym i z rzekomo autonomicznych samorządów robi narzędzia swego władania. Miejsce reprezentacji zajmuje biurokracja, zamiast kierunku woli od dołu ku górze zjawia się rozkaz z góry, koordynację zastępuje plan itd. itd.

Dla Bubera, jako filozofa i moralisty raczej niż socjologa jest charakterystyczne, że tej preponderacji motywów politycznych w myśli marksistowskiej nie sprowadza do obiektywnych warunków rewolucyjnego działania, ale do subiektywnych skłonności Marksa i jego współwyznawców. Z inkwizytorską niemal wnikliwością, z czujnością sędziego śledczego analizuje Buber każdą kapitulację społecznika w Marksie i Leninie przed politykiem. Myśl społeczna rewolucji jest jakby sumieniem, które nie daje spokoju, a polityka szatanem, który kusi. Marksiści z reguły ulegają pokusie.

Jest to oczywiście uproszczenie i ucieczka od rzeczywistego problemu. Trzeba o tym pamiętać, że od czwartego dziesięciolecia ubiegłego wieku czekano na wybuch rewolucji tak, jak my dziś czekamy na wybuch wojny — z kwartału na kwartał, z roku na rok. Widząc fiasko jednego eksperymentu socjalistycznego po drugim i obserwując jak ruch spółdzielczy włącza się w strukturę społeczeństwa kapitalistycznego zamiast ją podminowywać, marksiście nie mieli rzeczywiście innego wyjścia, jak pilnować, by duch rewolucyjny nie wygasł, by reformistyczne kompromisy nie rozładowywały woli walki w proletariacie, i by organizacja klasy robotniczej była każdej chwili gotowa do akcji rewolucyjnej. Partia rewolucyjna z konieczności stawała się ważniejsza od zarodków społeczności socjalistycznej.

Buber zna te fakty i mówi o nich, ale — chociaż cytuje zdanie Proudhona, który tę sprawę ujmuje najgłębiej: „To walka rewolucyjna dała nam centralizację" i chociaż w ten sposób wskazuje na pewien obiektywny tragizm rewolucji społecznej — Buber uchyla się od analizy rzeczywistego zagadnienia, którym jest wewnętrzna sprzeczność idei socjalistycznej i przyczyn jej skrzywienia w praktyce uporczywie dopatruje się w wybujałym instynkcie politycznym marksistów.

Stanowisko swoje Buber formułuje w zdaniu, które brzmi jak truizm, ale truizmem nie jest: „Nie można traktować ani jednostki ani organizmu społecznego wyłącznie jako środka do celu, nie pozbawiając go duszy i życia". Stalin w r. 1933 powiedział o kolektywach i sowietach, że „z punktu widzenia leninizmu są one, jako formy organizacji, bronią i tylko bronią". Taką bronią była partia, taką bronią jest państwo sowieckie. Rewolucja się nie skończyła, nie można więc odkładać broni. Żyje się w nieustannej totalnej mobilizacji, myśli się wyłącznie kategoriami strategii, bo rewolucja jeszcze się nie skończyła. Ale „nie można traktować żywych organizmów wyłącznie jako środków do celu", bo się je zabije. To nie jest zarzut przeciwko marksistom, to stwierdzenie pewnej, obiektywnej sytuacji. I nie wystarczy wskazywać na instynkt polityczny, jako na źródło wszelkiego zła, bo polityka rewolucji jest koniecznym i nieuniknionym rezultatem idei rewolucyjnej. Źródło zła nie tkwi w polityce, źródło zła tkwi w idei.

Lecz Buber nie tylko nie kwestionuje idei rewolucyjnej, ale przez cały czas upiera się, że można i należy jej bronić przeciwko najbardziej konsekwentnym rewolucjonistom, tj. marksistom. Daremnie jednak szukalibyśmy w jego książce rozwiązania dylematu, który tkwi u podstawy tego sporu: jak robić rewolucję, by nie przeistoczyła się w reformę? Wszystkie formy życia i działania, jakie marksizm wytwarza w ciągu akcji rewolucyjnej, traktuje on jako narzędzia walki a nie jako wzory, czy choćby tylko części składowe przyszłego społeczeństwa socjalistycznego (co też nie zupełnie jest ścisłe, bo motyw budownictwa socjalistycznego często powraca i zagłusza motyw rewolucyjnej strategii, ale, oczywiście, nie na długo).

Doświadczenie wykazało, że próby tworzenia w łonie czy na marginesie społeczeństwa kapitalistycznego komórek socjalistycznej społeczności, rozbija się albo o rafy kapitalistycznej rzeczywistości ekonomicznej, albo — co jest znacznie gorsze — o rafy lekkomyślnie idealizowanej natury ludzkiej, w której wnet bierze górę egoizm, zmysł posiadania i instynkt władzy. Punktem spornym w analizie marksistowskiej jest oczywiście przypuszczenie, że wystarczy zburzyć ustrój, który te instynkty faworyzuje, by one same zanikły, ale Buber nie wdaje się w dyskusję tej tezy — on tylko wciąż powtarza swoje: trzeba dawać pierwszeństwo ideałom społecznym przed politycznymi, trzeba naprzód robić rewolucję społeczną a dopiero potem polityczną..

Buber dostrzega tę lukę i zamyka ją w sposób jak na teoretyka dosyć nieoczekiwany: wskazuje na konkretny przykład chaluców i kibuców palestyńskich nazywając je „eksperymentem, który nie zawiódł" i kończy książkę patetycznym zwrotem: „Jeden z biegunów socjalizmu, między którymi musimy wybierać, możemy określić pysznym mianem M o s k w a. Drugi chciałbym nazwać słowem J e r o z o l i m a." Niestety, bardzo zresztą ogólnikowy, opis eksperymentu palestyńskiego nie usuwa wątpliwości, jakie budzi cały poprzedni wywód o tragicznym popadaniu socjalizmu w centralizm (a więc w tyranię). Życie społeczne Palestyny toczy się w warunkach mało typowych, eksperyment przeprowadzany jest na małą skalę, więź uczuciowa jej mieszkańców z konieczności jest silniejsza niż gdziekolwiek na świecie etc. Buber sam podkreśla, że „żydowska komuna wiejska w Palestynie zawdzięcza swoje istnienie nie doktrynie ale sytuacji" i to — należałoby dodać — sytuacji bardzo specjalnej. Nic na to nie poradzimy, że socjalizm jest doktryną, a jeżeli nie odpowiada sytuacji, dla której został stworzony, t.zn. jeżeli błędnie rozwiązuje zagadnienia cywilizacji przemysłowej, to trzeba zacząć badać doktrynę a nie poprzestawać na krytyce sposobu, w jaki ją realizują ci, którzy ją realizują na serio.

Najgłębszy z socjalistów, Proudhon, który w roku 1860 pisał: „Nie powinniśmy dłużej się łudzić. Europa jest zmęczona myślą i ładem. Wchodzimy w okres brutalnej siły i pogardy dla zasad" a następnie: „I wtedy zacznie się wielka wojna sześciu wielkich mocarstw" — człowiek ten rozumiał, że rewolucja jest w istocie swej tragiczna, bo prowadzi do swego własnego przeciwieństwa. To Marks wykazał mu, że przez próby realizowania socjalizmu bez czekania na objęcie władzy przez socjalistów, ratuje kapitalizm i utrudnia zwycięstwo socjalizmu. Marksiści nazwali proudhonistów „reformistami", tj. reformatorami i galwanizatorami kapitalizmu. Ale czyż marksiści sami z kolei nie zasługują na to pogardliwe a tak trafne miano? Oto ruszyli do walki, by przywrócić godność człowiekowi i obalić tyranię, a dziś, nie dość, że godność tę depczą w krajach, które opanowali, i nie dość, że na jednej trzeciej kuli ziemskiej ustanowili najdoskonalszą tyranię w dziejach, ale przez swoją politykę „obrony cytadeli rewolucji" pchają resztę świata ku tej samej polityce deptania godności ludzkiej i lekceważenia niepodległości narodowej. To oni uczą inne mocarstwa najbardziej nowoczesnych metod imperializmu, to oni reformują imperializm i galwanizują go, zamiast zadać mu śmiertelny cios.

W istocie, bolszewicy są w skali międzynarodowej takimi samymi reformistami jak socjaldemokraci w skali narodowej. Idea socjalistyczna nie zmieniła substancji życia politycznego. W krajach kapitalistycznych uczyniła proletariat wspólnikiem monopolistycznego kapitału, a w konsekwencji beneficjentem imperializmu, żywotnie zainteresowanym w jak najkorzystniejszej pozycji rodzimego przemysłu w gospodarce światowej. W krajach kolonialnych lub pół-kolonialnych idea socjalistyczna nie oddała przemysłu na usługi społeczeństwa bezklasowego, lecz zmusiła do wytworzenia państw ściśle centralistycznych, rządzonych przez biurokrację i dążących tylko do tego, by włączyć się w powszechny wyścig imperializmów. Po ostatniej wielkiej wojnie imperialistycznej zaś, gdy jednym ze zwycięzców pozostało wielkie państwo socjalistyczne, nadało ono stosunkom z innymi państwami socjalistycznymi odrazu charakter tradycyjnie imperialistyczny, a w polityce międzynarodowej nie tylko nie odegrało roli obrońcy niepodległości narodowej, lecz uczyniło i czyni wszystko, by jak najwięcej krajów, poza jego strefą wpływów, stało się domeną innego imperializmu i by porządek polityczny świata był wyznaczony przez kompromis tych dwóch imperializmów.

Tragedią socjalizmu jest to, co Marks nazywa istotą drobnomieszczaństwa — sprzeczność: służy on temu, przeciwko czemu powstał. Owoc wczesnej myśli socjalistycznej — ruch spółdzielczy — stał się rychło elementem gospodarki kapitalistycznej; owoc średniego okresu rozwoju myśli socjalistycznej — syndykalizm — stał się elementem imperializmu, umożliwiając solidaryzm społeczny w krajach wysoce uprzemysłowionych; owoc najmłodszej myśli socjalistycznej — bolszewizm — stał się elementem stabilizacji wielkomocarstwowego porządku światowego i najsprawniejszym realizatorem imperialistycznej koncepcji „wielkich obszarów". W tym jest logika, której nie można wykryć przy pomocy psychologicznej analizy, a równocześnie jest w tym fatalność, której nie można zwalczać przez prosty nawrót do pierwocin myśli socjalistycznej i przez odgrzebywanie ideałów sprzed wieku.

Z tych ideałów wyrosło wszystko, czym socjalizm obdarzył nas w tych stu latach. Obok rzeczy szlachetnych należą tu także instytucje, które są dziś klątwą ludzkości. Albo więc ideały były fałszywe, albo też błędny był obraz świata, w którym te ideały umieszczano. Buber nie krytykuje ani pierwszych ani drugiego i dlatego nie przyczynia się niczym do wyjaśnienia wielkiego kryzysu, jaki dziś przeżywa socjalizm. To, co mówi, sprowadza się do stwierdzenia, że należało socjalizm realizować innymi środkami, a nie byłby się stał tym, czym dziś jest. Książka Bubera jest więc jeszcze jednym dokumentem bezradności myślących socjalistów wobec sytuacji, do której powstania socjalizm tak walnie się przyczynił.

Jan M. Romanowski

*) Martin Buber, Paths in Utopia, translated by R. F. C. Hull. London, Routledge and Kegan Paul, 1949, Cena: 15 sh.

ZGON EMANUELA MOUNIER

DNIA 22 marca rb. zmarł nagle na atak serca świetny pisarz katolicki Emanuel Mounier. Śmierć zabrała go z posiadłości Mur Blanc pod Chatenay-Malabray, gdzie żył ostatnio z kilkoma swymi współpracownikami we wzorowanej na gminach starochrześcijańskich wspólnocie własności i ubóstwa.

Mounier urodził się w r. 1905 w Grenoble. Uzyskał tytuł profesorski (Agregé de l'Université), a następnie wykładał filozofię w St. Omer. W roku 1932 porzucił to dobre finansowo stanowisko, aby założyć miesięcznik „E s p r i t" który z czasem stał się jednym z najlepszych i najgłośniejszych wydawnictw katolickich świata.

Miesięcznik „E s p r i t", wzorowany na słynnych „C a h i e r s d e l a Q u i n z a i n e", potrafił Mounier przepoić żarem własnej, potężnej indywidualności, choć nie unikał wpływów i współpracy innych wybitnych pisarzy. Na łamach tego pisma i wokół niego rozkwitała najżywotniejsza współczesna myśl chrześcijańska.

W czasie wojny odegrał poważną rolę we francuskim Ruchu Oporu. Mimo to był pierwszym z intelektualistów, którzy po wojnie publicznie potępili polityczną kampanię zemsty, nazywaną eufemicznie „épuration" (czystka)

Jego sformułowanie chrześcijańskiej doktryny personalizmu wywarło ogromny wpływ na całą współczesną myśl katolicką oraz na młodzież nie tylko we Francji, ale również w licznych krajach Europy i Ameryki. Liczna grupa personalistów, która się skupiła koło Mounier, będzie niewątpliwie kontynuować jego dzieło i myśl wyrażającą się m. in. w postaci kilkunastu książek*) i przeszło 150 numerów „E s p r i t".

*

We wspomnieniu o Emanuelu Mounier, zamieszczonym w „Le Figaro". Georges Izard podał szereg niezmiernie ciekawych szczegółów z życia Zmarłego.

W roku 1931, po wykończeniu dwóch — pisanych przez obu pisarzy — studiów pt. „L a P e n s é e d e C h a r l e s P é g u y", gdy omawiana była myśl założenia nowego czasopisma katolickiego, Izard oświadczył Mounier'owi, że nie posiadając żadnych środków materialnych, nie może się podjąć wydawania nowego miesięcznika. Mounier powiedział wówczas bez chwili wahania: — Doskonale. Chcemy służyć słusznej sprawie i nie mamy grosza przy duszy. Ale przecież udają się tylko przedsięwzięcia oparte na ubóstwie. Rzucam uniwersytet i przenoszę się do Paryża (...) Biorę na siebie wydawnictwo — byle tylko było co drukować. W każdym razie nie może to być nic gorszego od „C a h i e r s d e l a Q u i n z a i n e".

Tak się zaczęła wielka przygoda życia Mounier. Było to w październiku 1932. Dziś wystarczy przejrzeć spis treści kolejnych numerów „Esprit", aby przekonać się jak wiele miał do powiedzenia i jak dużo powiedział Emanuel Mounier. W „E s p r i t" ukazało się pierwsze jego studium o personalizmie pt. „R e f a i r e l a R e n a i s s a n c e", tam drukował Mikołaj Bierdiajew swój słynny essay: „V é r i t é e t m e n s o n g e d u c o m m u n i s m e — p o u r s e r v i r à la c o m p r é h e n s i o n de la r e l i g i o n c o m m u n i s t e". Terminu „religia komunistyczna" używał później Mounier we wszystkich swoich szkicach.

W czasie zeszłorocznego „Tygodnia Społecznego" organizowanego co rocznie w Paryżu przez Ośrodek Katolickich Intelektualistów Francuskich, dwugodzinny referat E. Mounier był osią wszystkich obrad.

Mounier rozwinął tezę, że przez historię świata przewijają się stale dwie odrębne, choć ściśle powiązane ze sobą kultury — chrześcijańska i każdorazowa kultura historyczna, czyli świecka kultura ludzkości danego okresu. Dowodził, że chrześcijaństwo posiada w sobie dostateczne siły, aby dokonywać syntezy własnej kultury z każdą ludzką kulturą i że groźba regresji chrześcijaństwa pojawia się wówczas, gdy ludzie przestają pojmować potrzebę i metodę dokonywania tej syntezy i pragną ten proces zastąpić jakimś bezdusznym schematem, pozorującym „pełnowartościową" kulturę chrześcijańską na ziemi. Dla Mouniera bowiem nie realizacja jakiegoś określonego porządku, ale chrzczenie każdorazowego historycznego porządku ludzkiego — jest właściwym zadaniem chrześcijaństwa.

Organizatorzy „Tygodnia Społecznego", biorąc pod uwagę samodzielną pozycję ideową Mouniera, przeznaczyli mu dwóch koreferentów wyraźnie odmiennych poglądów. Mimo jawnych różnic żaden z nich nie wniósł poważnych zastrzeżeń przeciwko sformułowaniom Emanuela Mounier, a jeden z nich — G. Vedel — podkreślił mocno, jakby w hołdzie głównemu referentowi, że wielką i prawdziwie chrześcijańską nie jest ta myśl, która w danej chwili jest bez zarzutu, lecz ta, którą cechuje odwaga szukania prawdy.

Z tym wszystkim niech nam będzie wolno zaznaczyć, przy całym głębokim szacunku dla osoby i dokonania zmarłego pisarza, że ś.p. Emanuel Mounier, zapatrzony tak jak Maritain i wielu innych najlepszych katolików francuskich w t.zw. „ubogie środki" chrześcijaństwa katolickiego, był pesymistą w ocenie realnej możliwości wejścia w życie katolickiej nauki społecznej. Może ten jego pesymizm płynął nie tyle z niewiary w doktrynę socjalną papieży, ile z doświadczeń historii ostatnich wieków. A okazała ona w pełni to, co z najbardziej prawowiernych kół katolickich nazwano „największym skandalem XIX stulecia", mianowicie, iż Kościół stracił — wraz ze swym wpływem religijnym na nie — masy robotnicze świata. Odeszły one od Kościoła — właśnie w poszukiwaniu sprawiedliwości społecznej. Odeszły nie z winy Kościoła, który nigdy nie zmienił nauki Chrystusa także w tym zakresie, który zawsze pamiętał na słowa swego Założyciela, że kiedy Syn Człowieczy przyjdzie na Sąd, wyrok zostanie wymierzony nie za s ł o w a pociechy, nie za ilość modlitw, nie za udział w nabożeństwach, ale w pierwszym rzędzie za to, że kiedy łaknął w ubogich Swoich, daliśmy Mu jeść, kiedy pragnął daliśmy Mu pić, gdy był gościem, został przyjęty, gdy był nagi, został przyodziany, gdy był chory, był nawiedzany, gdy bywał w więzieniach, był odwiedzany. Lecz odeszły z winy katolików, z winy katolickich posiadaczy ziemi, fabryk i przedsiębiorstw, którzy naukę Kościoła zamienili w ciągu stuleci na „siłę społecznego ładu", a więc na bezwład zastygłego konserwatyzmu, pozwalającego trawić im w spokoju bogactwa gromadzone w wyzysku tych, których, jak mówi papież, nędza woła z ziemi do Nieba; — a Bogu, jak pisał katolicki pisarz francuski, wyznaczyli rolę psa podwórzowego, który uwiązany na łańcuchu ich interesów ma groźnie szczekać na tych, co ośmielaliby się domagać się sprawiedliwości.

Mounier niejako oddawał społeczne urządzenie świata socjalizmowi i komunizmowi, a katolikom zostawiał zadanie chrzczenia nowej kultury. Był to nie tylko pesymizm, ale i rezygnacja, gorzej może: kapitulacja. Jest to znak, jak daleko odszedł świat, za który odpowiadają katolicy, od Boga, jeśli umysł tej miary jak Mounier tak dalece zwątpił o możności, aby katolicy zdolni byli odnowić własnym udziałem społeczne oblicze ziemi. Wobec swych przeciwników ideowych, wobec komunistów zachowywał czasami więcej niż lojalność, którą oni mogli poczytywać za słabość. Bywał nieraz tak lojalny względem nich, że łączyło się to nieraz z daleko mniejszą lojalnością w stosunku do katolików, co w połączeniu z jego „ira per zelum", z gniewem za zaniedbania zarówno świeckich jak i duchownych, jednało mu licznych niechętnych w obozie czy raczej: w obozach katolickich. Był jednak przedmiotem gwałtownych ataków także ze strony komunistów, którym oczywiście nie wystarczała jego tak nieraz katolików drażniąca „lojalność". Przez swą postawę raczej intelektualnego obserwatora niż człowieka, który angażuje się raczej w jedną albo drugą stronę okazała się na nim prawda pewnego powiedzenia św. Franciszka Salezego: „Kto chce mieć wziętość u wszystkich, u wszystkich ją straci", choć oczywiście śp. Mounier był osobiście daleki od starania się „wziętość.

sp

*) Podajemy poniżej tytuły głównych dzieł E. Mounier'a:

Révolution personaliste et communautaire. Rok wyd. — 1934.

De la propriété capitaliste et de la propriété humaine. — 1935.

Manifeste au service du personalisme. — 1936.

L'affrontement chrétien. — 1944.

Traité du caractère. — 1946.

Liberté sous condition. — 1946.

Qu'est ce que c'est le personalisme. — 1947.

La petite peur du XX siècle. — 1948.

ADRIAN CHALIŃSKI

STOSUNKI FRANCUSKO-POLSKIE (IV)

BILANSE KULTURALNE I POLITYCZNE

PRZEGLĄDAJĄC dzieje tych kilkusetletnich kontaktów kulturalnych między Polską a Francją, korci pytanie: w jakim stopniu zmieniliśmy się pod wpływem Francji? W jakim zakresie i o ile wzbogaciliśmy się lub zubożeli przez to współżycie duchowe?

Zdaje się, że najlepszą odpowiedzią na to pytanie będzie przytoczenie, że wielu naszych najwybitniejszych mężów stanu wychowanych było przez Francuzów, musiało więc bez wątpienia przejąć od wychowawców pewne poglądy na sprawy publiczne i zagadnienia zasadnicze wprowadzając je później w praktykę. Reforma szkolna X. Stanisława Konarskiego przeprowadzona w r. 1740, spowodowała umieszczenie języka francuskiego jako przedmiotu obowiązującego. Uczniowie posuwali swą znajomość tego języka tak daleko, że grywali francuskie sztuki na szkolnej scenie. W tymże mniej więcej czasie — dnia 1 maja 1737 ex-król Stanisław I, książe Lotaryngii i Baru, zakłada w swym księstwie szkołę wojskową, z której wyjdzie sporo wybitnych jednostek. Programem króla było „dać swej ojczyźnie, Polsce i swym krajom Lotaryngii oznaki swej życzliwości przyczyniając się do wychowania poddanych, którzy będą mogli oddać swej ojczyźnie wybitne usługi zarówno swą radą, jako też orężem" — jak mówi sam król w swym obwieszczeniu.

Od chwili więc kiedy na dworze królewskim w roku 1662 przedstawiono „Cyda" Rasyna w tłumaczeniu Andrzeja Morsztyna, jednego z filarów partii francuskiej, wpływ francuszczyzny sączył się do duszy Polaków licznymi strumieniami. Na pierwszym miejscu stało wychowanie: już przecież Henryk Walezy musiał w „Pactach Conventach" przysięgać, że wyśle na swój koszt 100 młodzieńców szlacheckich do Francji celem wyedukowania ich. W sferach zamożniejszych język francuski stał się obowiązującym, stąd też do ostatnich czasów Polska była krajem posiadającym największą ilość nauczycieli francuskiego. Charakterystyczny obraz tego wychowania francuskiego po dworach wiejskich daje nam Ignacy Baliński w swych ciekawych wspomnieniach o Warszawie: „W język francuski i niemiecki wprawiano nas bardzo usilnie... Mieliśmy doskonały dwutygodnik paryski „Magasin d'Education", w którym przez ćwierć wieku drukował swe słynne powieści Jules Verne". Nie mniejszą rolę grały obyczaje towarzyskie, wszczepiane młodzieży przez ich metrów i guwernantki. Nie potrzeba dodawać jaką rolę odegrała moda i wszystko co się z nią łączy. Polska sztuka i literatura, jak w wielu innych krajach, również podlegała francuskim inspiracjom czy modom, do czego przyczyniało się studium polskich artystów w Paryżu.

Czy wobec tych wpływów, impulsów, gustów francuskich w Polsce, można u nas stwierdzić głębokie ich przenikanie? Nie zdaje mi się, aby te wpływy sięgały zbyt głęboko: trzymały się one posadzki salonów, czy pracowni malarskich unosiły się niby dymek z papierosa nad życiem towarzyskim, zbliżały nas, owszem, do umysłowości Europy i zaznajamiały z prądami tam panującymi, ale właściwie nie zrewolucjonizowały żadnej warstwy, nie wycisnęły piętna na żadnym typie Polaka. Ocena tych fenomenów duchowych jest oczywiście niezwykle trudna i zdradliwa: właściwie należałoby ją przeprowadzać nie przez sumowanie pozycji pozytywnych wpływu francuskiego a raczej stawiając pytanie: jakby Polska wyglądała duchowo w 1939 roku, gdybyśmy nie kontaktowali się wogóle z Francją? I przechodząc pozycję po pozycji, może doszłoby się do realnego obrazu.

Nie chciałbym pomniejszać zasług kultury francuskiej, tak nam sympatycznej i tak chwalonej, lecz zdaje mi się, że wpływ jej o tyle był — jeśli chodzi np. o poglądy społeczne — nikły, że szedł wbrew interesom warstw rządzących.

Przypomina mi się nowela Weyssenhoffa „Znaj pana", w której młody magnat kresowy hr. Odwaga-Konopacki, strzepnąwszy z siebie pył codzienności i domowego barbarzyństwa, przybywa do Paryża, by tutaj odetchnąć pełną piersią kulturą zachodnią. Pierwsze jego kroki prowadzą go do fryzjera, zapewne „Antoine'a", gdzie namaszczany, masowany, skrapiany różnymi wonnościami odzyskuje „formę europejską". Nie chcę być złośliwym, ale przypuszczam, — Weyssenhoff zresztą też nie miał co do tego złudzeń — że pobyt jego obracał się między kabaretami Montmartre'u, polem wyścigowym, Jockey - Clubem i restauracjami „a la mode". Do Luwru czy do Bibliotèque Nationale Konopacki zapewne nie zaglądał... Przypuszczam też, że wracając do domu, mimo wszystkie sympatie zachodnio - europejskie, wchodził znów w swoją „starą skórę" i do swych chłopów odnosił się „po tutejszemu", nie myśląc o złotymi zgłoskami na gmachach publicznych wypisanych słowach: „Liberté, Egalité, Fraternité".

Konopacki, rzecz prosta, nie jest wzorem dla wszystkich ani też przekrojem narodu: inni zrośli się z Racinem, Corneillem i Molierem, choćby Boy-Żeleński, i oddali narodowi sporą usługę kulturalną. Mimo wszystko jednak, stosunek nasz do kultury francuskiej cechowała pewna powierzchowność, której się nie dostrzegało, gdyż kryła się pod tradycyjnym wyrazem przywiązania do wspólnie przeżytych chwil za czasów Bonapartego i nadziei niezniszczonych zresztą, za Napoleona III. Naród zamiłowany w wystawności, słusznie nazwany „pawiem narodów", miał zawsze obok tylu innych zalet, słabość do dekoracyjności, która znajdywała w kulturze a raczej cywilizacji francuskiej odpowiednik w typowym „panache".

Znacznie trwalsze, mam wrażenie, ślady wpływów zostawiła kultura włoska, choćby dlatego, że przyszła wcześniej, przed drugą falą wpływów francuskich w XVII wieku, i była wyłącznie charakteru duchowego. Chęć pozbycia się obcego panowania w imię wspólnych ideałów wolności, zatrzymywała się u warstw uprzywilejowanych bez wątpienia tam, gdzie zaczynały się jej osobiste interesy, podobnie też sympatje sfer uboższych i dorabiających się, na przyszłość, wpływów w narodzie, nie mogły identyfikować się z republiką burżuazyjną szukającą w carskiej Rosji, ciemiężycielki ich braci, swego sojusznika. Wszystkie te momenty kulturalno-historyczne wykazują jedynie jak skomplikowaną jest symbioza dwóch narodów, nawet od siebie geograficznie odległych i od ilu zależy ona momentów. Nie obala to faktu, iż bez tej symbiozy Polska do roku 1918 pozbawiona by była „okna na świat" i cała, od Poznania po Podwołoczyska i od Mińska do Kijowa, pozostawałaby w czadzie rosyjskim. Nie można też zapominać, że nawskroś katolicka Polska nie mogła się pogodzić z kursem antykościelnym święcącym triumfy za III Republiki a podważającym podstawy moralne narodu, co, okazało się dla samej Francji jak najbardziej zgubne i doprowadziło do szeregu przesileń duszy narodowej w ostatnich czasach.

Jądrem zapewne tych wszystkich qui-pro-quo duchowych jak również mijania się na wspólnej, zasadniczo, drodze, było to, że Francja do końca XVIII wieku była państwem o rządach absolutystycznych gdy Polska chorowała na przerost swoistej demokracji. W chwili zaś, gdy znów Francja obaliła swą monarchię i wywiesiła sztandar wolności demokratycznych, Polska doszła do przekonania, że jest jej potrzebny silny rząd. Wspólne uniesienia wolnościowe przyniosła rewolucja lipcowa 1830 roku we Francji i powstanie listopadowe 1830 roku w Polsce. Ale wtedy znów polityka oficjalna nie mogła nadążyć za sympatiami narodu, a Alfred de Musset śpiewał w wierszu „A la Pologne":

Jusqu'au jour, ô Pologne! oü tu nous montreras
Quelque désastre affreux, comme ceux de la Grèce,
Quelque Missolonghi d'une nouvelle éspèce,
Quoi que tu puisses faire, on te croira pas.
Battez-vous et mourrez, braves gens, L'heure arrive
Battez-vous: la pitié de l'Europe est tardive;
Il lui faut des levains qui ne soient pas nés.
Battez-vous et mourrez, car nous sommes blasés! *)

Niemniej jednak, mimo tylokrotnych zawodów, Polacy odczuli wojnę francusko-pruską jako ich własną wojnę: tragedię Polaka walczącego za Prusy sformułował Sienkiewicz w „Bartku Zwycięzcy". Ale te wszystkie subtelności polityczno - kulturalne nie docierają do przeciętnego Polaka czy Francuza: wzajemny stosunek utrzymuje się na poziomie banalnych spostrzeżeń dnia bieżąg .Nie dotarło też do Francuza zrozumienie konieczności wojny w roku 1939, kiedy żołnierze francuscy zwali wojnę z Niemcami „cette drole de guerre", myśląc, że sie biją o Gdańsk...

Rozważanie przyszłości jest sprawą proroków i geniuszy sięgających swym wzrokiem grubo poza swe czasy: w jakikolwiek ułożą się sposób stosunki polsko - francuskie, punktem wyjścia wzajemnego zrozumienia powinno być wyjaśnienie tych qui-pro-quo, oraz uznanie lojalne, szczere i rzeczowe-, usług ludzkich, humanitarnych, przyjacielskich jakich Polacy doznali w tym kraju od pierwszej emigracji politycznej w roku 1770, poprzez rok 1794, 1831, 1863 i 1939. Uznanie doznanych dobrodziejstw, — a są one znaczne — jest chyba podstawą porozumienia się najbardziej trwałą. Mimo też tych różnych zastrzeżeń wysuniętych gwoli ścisłości psychologicznej i historycznej, Francja pozostaje, wśród wszystkich krajów europejskich, geograficznie oddalonych, najbardziej nam bliskim. — W własnym też interesie powinniśmy poznawać Francję i jej kulturę bardziej od strony jej dobrych cech, od strony Kartezjusza i inspiracji religijnej, która zrodziła wojny krzyżowe, jak od strony kabaretów paryskich i perfum Chanela czy Houbiganta... Ale to zależy już tylko od nas samych.

Adrian Chaliński

*) **Nie uwierzą ci, o Polsko, aż do dnia, kiedy nam okażesz okropną klęskę, jak owa w Grecji, jakieś Missolunghi w nowym wydaniu. Cokolwiek byś uczyniła, nie uwierzą Ci. Bijcie się i umierajcie, dzielni mężowie. Bijcie się: współczucie Europy rodzi się późno: potrzeba mu drożdży, które się jeszcze nie narodziły. Bijcie się i umierajcie, gdyż my jesteśmy zblazowani".**

FELIX MORLION, O. P.
Rektor Uniwersytetu Międzynar. „Pro Deo" w Rzymie.

FILOZOFIA TOMISTYCZNA RUSZA DO KINA

II.

PROBLEM TWÓRCZOŚCI: TRZY RODZAJE PIĘKNA

Może się wydawać, że powyższa definicja piękna jest zbyt abstrakcyjna i zbyt ogólnikowa, aby mieć jakiekolwiek znaczenie praktyczne. Wystarczy jednak zastosować ją do krytycznego studium nad dziełami sztuki (i natury), które wywołują w nas wzruszenie estetyczne, aby przekonać się, że w każdym razie pozwala ona dostrzec w jaki sposób nowoczesne szkoły — impresjonizm, kubizm, symbolizm, nadrealizm, neorealizm — czynią zadość głębokim możliwościom zawartym w samej naturze piękna.

Poza tym rzeczowa ocena stosunków pomiędzy materią i duchem, wyrażona w definicji piękna, wystarcza do wykazania, że istnieją trzy rodzaje piękna, odpowiadające trzem rodzajom inspiracji artystycznej.

1. — Istnieje piękno zmysłowe, które jest pięknem, wynikającym z harmonii lub kontrastu linii i barw w dwóch wymiarach (fotografia, rysunek, obraz), w trzech wymiarach (rzeźba, architektura) oraz pięknem kombinacji dźwiękowych, realizowanych w tak zwanym czwartym wymiarze — czasie (muzyka). Te rodzaje piękna są jako takie niezależne od wyobrażania jakiegokolwiek określonego przedmiotu, to znaczy od wierności naturze (co usprawiedliwia piękno w kubizmie, puryzmie, impresjonizmie, w sztukach czysto plastycznych, w muzyce, niesłusznie zwanej „abstrakcyjną") i nie posiadają żadnej zamierzonej koncepcji (co sprawia, że zachwycamy się obrazem kubistycznym, albo sonatą bez dociekania „co artysta zamierzał wyrazić?").

2. — Piękno rozumowe (t.zn. mające podstawę w umyśle) jest to piękno właściwe zespołom wyobrażeń i pojęć, ujętych w nową kompozycję lub pokazanym w ruchu. W tym przypadku inspiracja artystyczna bierze początek w ideach, umykających poznaniu zmysłowemu, ale pozostających w szczególnym związku z materią, mianowicie przeciwstawiających się abstrakcji intelektualnej. Tym właśnie różni się dzieło literackie od naukowego: nauka ma skłonność do odcieleśniania idej — literatura obleka je w ciało. Piękny poemat — to pojęcia i wyobrażenia poruszające się w morzu wzruszenia, a czasem także w muzyce słów. Piękna powieść, piękny dramat, czy komedia — to dobrze ukształtowane postacie, grupy lub tłumy użyte w sposób właściwy, idee ścierające się lub harmonizujące na tle rozgrywającej się akcji zewnętrznej. Piękna rozprawa, czy wreszcie traktat (mam na myśli np. stronice św. Tomasza o naturze poznania ludzkiego, o naturze aniołów i o naturze Boga) — to idee, pojęcia, które się rodzą, uwyraźniają, rosną, otwierają nam nowe horyzonty, aby wreszcie zjednoczyć się w syntezie, która — jak sam człowiek — jest zespoleniem różnorodności w jedności przy pomocy jednej wielkiej zasady.

3. — Piękno symboliczne jest to piękno powstające wtedy, gdy formy materialne służą jako narzędzia do wyrażenia przewyższającej je rzeczywistości duchowej. Św. Dominik Fra Angelica to piękna postać, harmonijna kompozycja linii i kolorów, które mają swoje własne piękno zmysłowe, ale zarazem wykraczają poza ramy materialne, gdyż postać ta, przy pomocy szczęśliwie utrafionego gestu w kierunku krzyża, wyraża wyrywanie się całej istoty do Boga, aby przekazać innym to, co Święty od Stwórcy otrzymał: „contemplata aliis tradere". Postacie Chrystusa El Greca, Rouaulta, Servaesa, E. Noldego, wyzute z całego piękna zmysłowego, ale wyrażające potężnie i wyłącznie dramat Boga-Człowieka, stają się, jak mówi Prorok, symbolicznym „robakiem ludzkim"... „wygnańcem"... „ofiarą zadośćuczynienia".

Jak widać z powyższego, piękno rozumowe prawie zawsze jest obecne w oprawie piękna symbolicznego. Umiejętność wyłowienia piękna rozumowego z błyskotliwego dialogu lub z dobrze poprowadzonej akcji scenicznej, jest sprawą ogromnie ważną, zwłaszcza, że to piękno jest często odrębne od centralnej rzeczywistości, którą dzieło sceniczne — według zamiaru twórcy — ma wyrażać.

NOWY CZYNNIK: SZTUKA FILMOWA, NAJPEŁNIEJSZA, NAJSILNIEJSZA W WYRAZIE SPOŚRÓD WSZYSTKICH SZTUK

Mówi się, że sztuka filmowa jest syntezą wszystkich sztuk. Należy pójść jeszcze dalej: sztuka filmowa może dać nie tylko najpełniejszy, ale także najsilniejszy wyraz pięknu. Piękno zmysłowe i piękno rozumowe, które artysta ucieleśnia w filmie muszą prawie zawsze utracić swą własną naturę, aby stworzyć kształt piękna zupełnie szczególny i nowy.

Sztuka filmowa wciąga w siebie sztukę plastyczną i muzykę, które zmierzają do piękna zmysłowego, a także sztukę pisarską skierowaną ku pięknu umysłowemu, ale zgodnie ze swą własną naturą film używa tych sztuk jako narzędzi do wyrażania rzeczywistości wyższej od form materialnych lub koncepcji intelektualnych. Oto dwie szczególne zasady, które przetwarzają sztukę filmową w coś nowego:

a) zdjęcie migawkowe, które umożliwia wybór w przestrzeni i dowolne przedstawienie przedmiotów zewnętrznych: ciała, grupy ludzi, wnętrza, miasta, drogi, krajobrazu — słowem wszystkiego, co uchwycone przez aparat staje się wyraziste (ekspresyjne) w najwyższym stopniu;

b) rytm, który umożliwia wybór w czasie: kunsztowne skomponowanie następstwa obrazów zewnętrznych i uzupełniających je dźwięków — słów, muzyki, milczenia — to znaczy tego wszystkiego, co w ostatecznej strukturze filmu nabiera maksymalnego nasilenia, głębokiej sugestywności, tajemniczego wyrazu poruszeń ludzkiej istoty, stanów duszy powołanej do życia na ekranie.

Film jest czymś różnym od serii zdjęć fotograficznych lub malowideł, a także od zespołu słów lub kompozycji muzycznych, ponieważ każdy z elementów składowych został w nim użyty jedynie z punktu widzenia siły swego wyrazu (ekspresyjności) w stosunku do centralnego tematu, który ma być pokazany publiczności. Za pomocą zbliżenia lub wydzielenia jakiegoś fragmentu, przez użycie dialoku albo monologu, tła muzycznego lub wymownego milczenia — film jedynie podkreśla ten aspekt rzeczywistości ludzkiej, który inspiruje reżysera do pokazania tej rzeczywistości — tak jak ją widzi — ludziom, co przyjdą, aby film obejrzeć.

Dla zilustrowania tego podstawowego prawa powinno się zanalizować kolejno poszczególne przykłady piękna fotograficznego i malarskiego (w nielicznych filmach kolorowych), piękna plastycznego (w filmach takich jak „Atlantyda" Pabsta, „La Belle et la Bête" Cocteau), a także piękna muzycznego i literackiego — i pokazać, że wszystkie te rodzaje piękna tracą swą indywidualność z chwilą, gdy porywa je potok akcji filmowej. Wystarczą tu dwa przykłady.

Arcydzieło holenderskiego reżysera Joris Ivensa nosi tytuł „Deszcz". Gdyby wyświetlono i pokazano poszczególne klatki taśmy filmowej, powstałaby wspaniała wystawa sztuki fotograficznej, obfitująca w różnorodne harmonie światłocieni na dachach domów, w ulicach, na tarasach i... w rynsztokach Amsterdamu. Ale zdarzyło się, że ekspert filmowy ułożył te zdjęcia fotograficzne w porządku filmowym, rozpoczynając od łagodnego, lekkiego „kapuśniaczku", siąpania z początku monotonnego, później wzbierającego w deszcz gęsty i uporczywy, jaki w Polsce nazwalibyśmy „trzydniówką", aby stopniowo wywołać atmosferę posępnej ulewy, a później powoli rozpraszać ją przebłyskami wznoszącego się słońca, co triumfalnie i radośnie rzuca wesołe promienie na miasto, które powraca wreszcie na pogodne i ruchliwe drogi swojego życia. Fotografie stały się ruchem i to nie tylko ruchem fizycznym, ale również duchowym — wędrówką od niespodzianki, poprzez monotonię do smutku i wreszcie, w ostatecznym akordzie — do radosnego hymnu triumfującego życia. Każde ze zdjęć, rozpatrywane oddzielnie, posiada swe piękno zmysłowe, nie wyrażające żadnej określonej idei, ani nie mające potrzeby jej wyrażać, aby być pięknym. Ale w ogólnym zespoleniu ruchu filmowego, skomponowanego przez Joris Ivensa, zapomina się o zdjęciach fotograficznych, gdyż teraz wyrażają one głębszą rzeczywistość, ludzką i duchową rzeczywistość, znacznie wyższą od natury zwykłej fotografii — pieśń spokojnego i bezpiecznego wesela, które gości w duszy ludzkiej mimo i ponad ciosami **przeciwności.**

„Henryk V" — niezależnie od powodzenia „Hamleta" — jest arcydziełem Laurence'a Oliviera w sztuce filmowej. Ten dramat Szekspira jest piękny: wspaniałe monologi Króla, jego nieprzyjaciół, żołnierzy, Falstaffa i towarzyszy, monarchiń i księżniczek są tu zebrane w całym pięknie klasycznego, malowniczego języka; mamy tu żywe dialogi, chwile napięcia i dramatyczne lub komiczne rozładowania; to wszystko czyni z filmu arcydzieło literatury. Ale jest tu coś więcej. Literatura zawarta w filmie stała się jednym z wielu elementów, wyrażających filmowo, to znaczy bardziej intensywnie, centralny temat dzieła Szekspira. Zamiarem Oliviera było przede wszystkim wtopienie dzieła literackiego Szekspira we współczesną mu historyczną oprawę i w tym celu wprowadził — z pewnym odcieniem ironii — naturalne reakcje publiczności na sztuczny charakter gry scenicznej. Żołnierze i obywatele nie przerywają swych zwykłych zajęć, podczas gdy aktorzy wytaczają i przeprowadzają jałowe dowody genealogiczne i archeologiczne na poparcie roszczeń króla angielskiego przeciwko jego francuskiemu kuzynowi — jakgdyby oddawali się jakiejś bezcelowej, a zarazem pretensjonalnej grze, cechującej autokratów. Ludzie z tłumu są rozbawieni, nie zdając sobie sprawy, że ta gra dotyczy także ich samych, bo przecież szarego człowieka wysyła się na wojnę, nie wyjaśniając celu — po prostu w tłumie innych, równie biednych i ciemnych. W ten sposób Olivier stawia teatr Szekspira w obliczu współczesnej mu rzeczywistości. Prócz tego stapia to życie z magią dobrze wyważonego, rytmicznego słowa, stwarzając świat rycerski, połyskujący kostiumami — fantastyczną panoramę słodkich barw i dziecinnych świecidełek z bajki. To jest druga cecha sztuki Szekspira: piękno słowa, wspaniałe zbroje i sentyment — wojna przypominająca igrzysko zainscenizowane dla dzieci.

Ale właśnie w ten sposób tragedia zaczyna się wyłaniać z tej oprawy bardziej bogato i tajemniczo niż można by to osiągnąć na drogach jakiejkolwiek innej sztuki. Sceny zgęszczają się, barwy uwyraźniają i nabierają głębi, a rytm dzieła niepostrzeżenie wznosi się do wielkiego szczytu centralnej sceny: Henryk V, młody

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Nieznane „polonicum" Biblioteki Watykańskiej.

Ciekawego odkrycia rękopiśmiennego dokonał X. prałat W. Meysztowicz w przebogatych, a mało zbadanych przez uczonych polskich, zbiorach manuskryptów Biblioteki Watykańskiej.

Mianowicie rękopis skądinąd mało interesującej „Historia Scholastica" Piotra Comestora (XII w.) z przełomu XIV i XV w., bogato iluminowany, posiada przy miniaturach (rzadziej w nich) krótkie zdania kreślone drobnym, pośpiesznym pismem, a będące prawdopodobnie wskazówkami kopisty dla iluminatora co do treści obrazków. Po wymalowaniu miniatur miały być starte. Szczęśliwym trafem kilka zostało nietkniętych, a ponad 400 starto niedokładnie.

Język tych gloss jest niewątpliwie słowiański. Pewne formy i wyrazy są czeskie, inne zaś polskie. Taką mieszaninę językową spotyka się często w ówczesnych tekstach polskich, szczególnie kopiowanych na Śląsku. Do dziś zresztą istnieje na pograniczu językowym polsko-morawskim szeroki pas przejściowych dialektów „laskich" o niekonsekwentnie przemieszanych elementach polskich i czeskich w fonetyce, morfologii, składni i słownictwie.

Wobec rzadkości zabytków polskich z tej epoki będą miały glossy z rękopisu watykańskiego wielkie znaczenie dla historii polszczyzny średniowiecznej.

Znów miniatury zainteresować powinny historyków sztuki w Polsce, bo jest bardzo prawdopodobne, że wyszły one z oficyny iluminatora Polaka z Opola, Wrocławia lub Krakowa.

Dokładniejsze informacje o „Polsko-Morawskiej Księdze". zdaniem X. Meysztowicza spisanej między październikiem r. 1410 a styczniem 1411. dla Jodoka, margrabiego morawskiego, po kądzieli Piastowica i żonatego z piastówną Opolską Agnieszką, zawiera trzeci numer kwartalnika „Duszpasterz Polski Zagranicą" (Rzym maj — lipiec 1950), w artykułach X. W. Meysztowicza, pani W. Wyhowskiej De Andreis i podpisanego.

J. T. Milik

DO MŁODZIEŻY AKADEMICKIEJ I STARSZEGO SPOŁECZENSTWA

Dostojny Protektor Uchodźtwa Polskiego J. Eks. Ks. Biskup Józef Feliks Gawlina w pięknym liście zwraca się do Polskiej Katolickiej Młodzieży Akademickiej w sprawie odnowienia Ślubowań Jasnogórskich.

Uroczystość ta odbędzie się w Sanktuarium Maryjnym w Wolsingham w niedzielę Zielonych Świąt.

Myśli nasze przenoszą się do Kraju Ojczystego do Częstochowy, gdzie nieustannie jaśnieje Nasza Pani, Królowa Korony Polskiej.

Pragnę podkreślić znaczenie i doniosłość tego aktu religijnego jaki miał miejsce na Jasnej Górze w 1936 r. Młodzież Akademicka z całej Polski złożyła przed cudownym obrazem Matki Bożej Częstochowskiej uroczyste przyrzeczenie, że wiernie i sumiennie stać będzie na straży ideałów katolickich, a swe codzienne życie budować postanowiła na zasadach nauki Chrystusowej i zdrowej tradycji polskiej.

To ślubowanie zostało złożone na ręce Najświętszej Pani Jasnogórskiej, jako Patronki naszego kraju i Pośredniczki u swego Syna.

Ileż zapału, ileż żywej i gorącej wiary było w tych młodych duszach młodzieży akademickiej, która w zrozumieniu swego posłannictwa, tak serdecznie wypowiadała swe śluby na miejscu świętym.

Tym aktem ślubowania młodzież akademicka przyjęła na siebie zobowiązania wobec Boga, że w miarę swych możliwości przekazywać będzie te przyrzeczenia na następne szeregi swych młodszych kolegów przez coroczne ich odnawianie.

Straszliwa wojna światowa przerwała ten chwalebny zwyczaj. Obecnie studenci polscy w W. Brytanii i seniorzy akademickiego ruchu maryjnego pragną w święto Zesłania Ducha Św. w czasie pielgrzymki młodzieży do Walsingham w sposób uroczysty odnowić Ślubowanie Jasnogórskie, by w ten sposób przypomnieć licznej rzeszy młodzieży akademickiej o tym zobowiązaniu, jakie na niej ciąży.

Z gorącym apelem i serdeczną zachętą zwracam się do Was, Młodzieży Akademicka, abyście idąc śladami Waszych starszych kolegów stanęli jako acies ordinata do wiernej służby dla Boga i Ojczyzny.

Pani Święta, co na Jasnej królujesz Górze, w Ostrej świecisz Bramie i chronisz swe miasto Lwów, „semper Fidelis", okaż się nam Matką, a my wierne zostaniemy Ci syny.

Londyn dnia 14 kwietnia 1950. Wikariusz Generalny

Ks. Bronisław Michalski

Protonotariusz Apostolski

PROŚBA KOMITETU AKAD. PIELGRZYMEK MARYJNYCH

Wszystkich, którzy pragną wziąć udział w Pielgrzymce, prosimy o natychmiastowe zgłaszanie się na adres: **Jerzy Słubick, 37, Werter Rd, London, S.W.15.**

Do zgłoszenia należy dołączyć **Ł 1** tytułem opłat za przejazd itd.

Zgłoszenia Pielgrzymów z Londynu przyjmuje Komitet **codziennie** (z wyjątkiem niedziel i świąt) **telefonem:** FRE 2551 od godz. 6 — 7 wieczór. Hospicjum św. Stanisława, 21 Earl's Court Square, London, S.W.5.

WOKÓŁ NAGRÓD LITERACKICH

LISTA No. 6.

Zebrano poprzednio	£ 41. 1. 3
X. L. Czapski	2.—.—
W. Sominka	—. 1.—
Henio i Andrzej	—. 3.—
M. Plichta	—. 3.—
A. Paschke	1.—.—
X. W. K.	—. 3.—
Parafia Kidderminster	3.—.—
X. J. L. Dryżałowski	1.—.—
C. Przechodzieniec	1.—.—
A. Kołakowski	—. 2. 6
E. Jankowski	—. 2. 6
M. H. Kruczałowie	1.—.—
Z. Sochocki	—.10.—
Bezimiennie	—. 5.—
Boltoniak	—. 5.—
X. M. Wojciechowski	—.10.—
Zofia Wilczkiewicz	—.10.—
Razem	£ 52.16. 3

Pozostaje do zebrania wśród Czytelników £ 47. 3. 9

W E Z W A N I E

W załączeniu przesyłamy postal order na 3 sh. i jednocześnie wzywamy do złożenia ofiar na Fundusz Kat. Nagród Literackich

1) wszystkich członków i sympatyków Londyńskiego Oddziału Studenckiego PKSU Veritas z członkami Zarządu na czele;

2) czytelników ŻYCIA na wydziale chemii P.U.C.

Henio i Andrzej

„ŻYCIE" na Zielone Świątki będzie miało 20 stron

Do Czytelników

Przed paru tygodniami powiadomiliśmy naszych Czytelników, że zielonoświątkowy numer ŻYCIA będzie liczył 16 stron. -Dziś donosimy, że numer ten, bogato ilustrowany, będzie miał 20 stron objętości. Oprócz wielu interesujących artykułów, ogłosimy w nim pełny wynik Jury Katolickich Nagród Literackich, sprawozdanie z uroczystego przyznania nagród, które nastąpi w sali Polskiej Misji Katolickiej w Londynie oraz celniejsze wyjątki z dzieł nagrodzonych lub wyróżnionych pisarzy i poetów. Z obcych pisarzy w numerze tym znajdą się rzeczy G. Greene'a, C. Virgila Gheorgiu i Fr. Mauriac'a. Z polskich pisarzy i publicystów prace J. Bielatowicza, I. M. Bocheńskiego O. P., A. Bronarskiego, M. Czapskiej, J. Jasnowskiego, J. Kisielewskiego, Z. Marynowskiego, A. Poleskiej, W. Tarnawskiego, M. Szyszko - Bohusza, J. Tokarskiego, J. Wiśniewskiego, C. Wodzińskiego i in.

Ten 20 stronicowy numer ŻYCIA będzie kosztował 2 s. za egzemplarz. Liczymy bardzo na naszych Przyjaciół, że numer ten, wydany w trzylecie naszego pisma, mimo z konieczności podwyższonej ceny, rozejdzie się szeroko wśród emigracji polskiej. Fakt stworzenia w najcięższym okresie życia emigracji, przy walnej pomocy Czytelników naszego tygodnika, instytucji Nagród Literackich, która nie powstała w czasach, gdy było tyle pieniędzy i gdy marnowano ich tyle na wydawanie nikomu niepotrzebnych broszur propagandowych, zamiast poprzeć rzetelną twórczość artystyczną i naukową, godzien jest upamiętnienia.

Administracja prosi Sz. Kolporterów o jaknajśpieszniejsze przysyłanie zamówień na ten numer ŻYCIA, celem ustalenia nakładu. Równocześnie donosimy Sz. Czytelnikom, że numer ŻYCIA na niedzielę przed Zielonymi Świątkami — a więc z datą 21 maja — nie ukaże się.

Ż Y C I E

wódz, uczciwy i pełen prawdy, wsłuchuje się w głos swego sumienia.

Pośród ciemności nocy, której głębia szorstko miesza się z posępnymi, dramatycznymi tonami myśli, w narożniku obozu pod Azincourt, gdzie głupia rozmowa kilku biednych, rozżalonych żołnierzy powiększa jeszcze poczucie samotności, Henryk V staje twarzą w twarz ze straszliwą odpowiedzialnością władcy. Słyszymy monolog o sumieniu Króla, który wie, że w końcu będzie musiał zdać rachunek przed Bogiem za życie lub śmierć wielu, pozostających w zasięgu jego woli. Wytrawna sztuka filmowa daje nam tu potęgę wyrazu, której nie mogłaby osiągnąć ani literatura, ani malarstwo, ani teatr. Oto tajemnica sztuki kinematograficznej: piękno zmysłowe (krajobrazy, zamki, ludzie, kostiumy), piękno rozumowe (race humoru i dowcipu, uzupełnianie się i kontrastowanie postaci i dialogów — cudowne osiągnięcia inspiracji intelektualnej w ruchu dramatycznym) — to wszystko jest w tym dziele, ale oba rodzaje piękna zostały przetworzone. Przez wybranie najlepszych momentów gry każdego aktora i przez zespolenie ich w całość, która w niezawodnym rytmie zmierza do szczytowej sceny dotyczącej sumienia, udało się reżyserowi prawie niespodziewanie doprowadzić do wyładowania, które chwyta za serce każdego widza.

Dochodzimy do wniosków. Abstrakcja doprowadziła nas do konkretu. Filozofia — do krytyki filmowej. Ale krytyka filmowa zwraca nas znów do filozofii. Bo przecież krytyk jest tylko rzecznikiem każdego, kto posmakowawszy piękna, nie może się powstrzymać od myślenia o rzeczach, których kosztował. Publiczność powinna się nauczyć myśleć o pięknych filmach, które oglądała. Należy ją wyzwolić z nadmiernej bierności, tak charakterystycznej dla kina. Powinno się ją nakłonić, aby słuchała tego wewnętrznego głosu, który pragnie znać naturę rzeczywistości, jaka wyłania się ze zbieżności i krystalizacji powierzchownych wrażeń.

Wychowanie publiczności nie może być pozostawione tylko krytykom. Jest to powołanie tych wszystkich, którzy wierzą w ludzkość, a więc w pierwszym rzędzie chrześcijan. Każdy uświadomiony i posiadający poczucie odpowiedzialności chrześcijanin powinien w imię prawdziwej filozofii posiąść zdolność zrozumienia i korzystania z bogactw sztuki filmowej. Wszyscy oni powinni być odpowiednio wyekwipowani do obrony prawdziwej natury pięknego filmu przeciw atakom tych, co obniżają jego poziom i zniekształcają go. Powinni dążyć do stworzenia prawdziwie chrześcijańskiej kultury filmowej w szkołach, na uniwersytetach, w kołach naukowych i wszędzie tam, gdzie działają organizacje apostolskie. Popierając arcydzieła sztuki filmowej, wywiera się skuteczny nacisk na produkcję. W następnym artykule przejdziemy do rzeczy praktycznych i przedstawimy pokrótce technikę dialektyki chrześcijańskiej w zastosowaniu do „forum filmowego", to znaczy do dyskusyjnych grup filmowych. Chodzi tu o wprowadzenie w czyn starofilozoficznej metody oświecania publiczności, metody, która jest zdolna nie tylko oświecać, ale również przetworzyć świat dzisiejszy.

Félix Morlion, O.P.

przełożył

Stanisław Pałęcki

LISTY DO REDAKCJI

PAMIĘTAJMY O AKCIE MIŁOSIERDZIA

Londyn, 16 kwietnia 1950.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W dniu 16 kwietnia br. odbyło się w Brompton Oratory nabożeństwo na intencję ofiar Katynia. W pewnym gronie powstała myśl, ażeby w dniu tym, w czasie Mszy św. przystąpić do Komunii św. i ofiarować ją za pomordowanych w Katyniu cierpiących w Czyśćcu. O projekcie tym było poinformowanych około 100 osób, a do Stołu Pańskiego przystąpiło kilkanaście. Bardzo jestem ciekaw, czy w wypadku poinformowania 30.000 Polaków w Londynie, a jeszcze lepiej 150.000 w W. Brytanii, przystąpiłoby do Komunii św. 3.000 w Londynie, względnie 20.000 w W. Brytanii. Wyobrażam sobie ile błogosławieństw spłynęłoby na naszą grupę uchodźczą.

Każdy z nas może uzyskać odpust zupełny i ofiarować go za braci i siostry nasze w czyśćcu. A przecież nie tylko Katyń. 18 maja rocznica walki pod Monte Cassino. Wspomnijmy w tym dniu dusze Polaków, których resztki doczesne spoczywają na licznych cmentarzach we Włoszech, Afryce, Środkowym Wschodzie... Gdybyśmy mogli usłyszeć ich żale? Może syn, może brat, może mąż, może krewny lub przyjaciel, a może przełożony lub podkomendny stanie koło nas, a my ani jego niemej prośby, ani jego cierpienia nie będziemy chcieli widzieć ani słyszeć, bo... Bo co?... „No, cóż ja mu mogę pomóc?"... Nie wiem!... Lecz każdy z nas może komuś otworzyć drogę z czyśćca do nieba, a jeśli ktoś z najbliższych tego nie potrzebuje, to napewno Miłosierny Zbawiciel naszą ofiarą wyzwoli inną duszę, o której dziś może nawet niczego nie wiemy. Może gdzieś z dalekiego Sybiru lub Kołymy, może ze stert popiołów Oświęcimia lub z piwnic U.B.; a może obudzi skruchę w sercu kogoś bliskiego — umierającego?

W Roku Świętym, w czasie tego Miłościwego Lata wszystkie odpusty można ofiarować za dusze zmarłych (chociaż nawet nieważne dla żyjących).

Tak, jak potrafimy postawić whisky obcym i swoim zdobądźmy się na inną hojność — hojność miłosierdzia naszego, które bliźnim ułatwi przejście do szczęśliwości. A nam? Cóż nam z tego? Nieustanne błogosławieństwa, opieka i pomoc ze strony tych, którym Bóg ujmie cierpień na nasze prośby.

Św. Łukasz 12.: „...gotujcie sobie trzosy, które się nie starzeją, — skarb niewyczerpany w niebiesiach, dokąd złodziej się nie zbliży i gdzie mól nie zniszczy..."

Proszę przyjąć wyrazy wysokiego szacunku

Dr. W.Z.

(Nazwisko i adres znane Redakcji)

NA MARGINESIE

NAJLICZNIEJ MORDUJĄ... MĘŻOWIE

W „DZIENNIKU Karnego Prawa i Kryminologii“ wydawanym w Stanach Zjednoczonych, prof. Uniwersytetu w stanie Indiana p. Edwin H. Sutherland udowadnia w obszernym studium, iż wśród morderców kobiet najliczniejszą kategorię stanowią ich mężowie. Z zarejestrowanych kolejnych 188 zabójstw kobiet profesor wyprowadził wniosek, iż w 102 wypadkach mordercami byli mężowie, w 37 ojcowie lub inni członkowie rodzin a tylko w 49 wypadkach winowajcami okazały się osoby postronne.

ŚWIECZKA I OGAREK

PREZYDENT Truman lawiruje przebiegle między Scyllą potentatów zorganizowanego pieniądza i Charybdą zorganizowanej pracy. W październiku roku zeszłego w Pitsburgu w dzień „święta pracy“ uderzał w „konspirację egoistycznych interesów... działających na szkodę dobra publicznego“. W cztery miesiące później, w lutym roku bieżącego, w dniu poświęconym czci Jeffersona Harry Truman, przemawiając w Waszyngtonie na obiedzie kosztującym sto dolarów od osoby, zaczął z innej beczki: „Komu na świecie — prawił — Republikanie potrafią wytłumaczyć, że wy Demokraci tu zebrani i wszyscy inni zasiadający za tym stołem jesteście socjalistami?“

„Times“ opatrzył przemówienie prezydenta następującą złośliwą wzmianką: „Chociaż wśród biesiadników niektórzy mogli być zwolennikami teoretycznego socjalizmu, jest więcej niż prawdopodobne, że na tym obiedzie egoistyczne interesy były silniej i liczniej reprezentowane, niż interesy ich ofiar“.

Świeczka i ogarek. Świeczkę zapalono na cześć stu dolarowych egoistów.

POLSKĘ I CZECHY ODPISAĆ NA STRATY

SPECJALNY korespondent „New York Herald Tribune“ w Berlinie p. Don Cook ogłosił, iż przedmiotem obrad Wielkiej Trójki w czasie majowych obrad będzie wspólna deklaracja Zachodnich Mocarstw w sprawie granic Niemiec. Oświadczając, że Mocarstwa wypowiedzą się kategorycznie za powrotem do Niemiec ziem pomiędzy dawną polską granicą a, z drugiej strony rzekami Odrą i Nysą, p. Don Cook rozumowaniem swym zdradza skąd czerpie inspiracje dla puszczenia w świat plotki.

„Kłopot może — pisze on — sprawić przy podobnej decyzji stanowisko takich satelitów, jak Polska i Czechosłowacja, ale nie trzeba się tym zbytnio przejmować. Zachodnie koła dyplomatyczne nie widzą powodów, by brać ich reakcję zbyt do serca. Dawniej przywiązywano wagę, by źle ich do siebie nie usposabiać, ale dzisiaj, gdy marszałek Rokossowski dowodzi polskim wojskiem a ministra spraw zagranicznych Klementisa w Pradze usunięto, można obydwa te „kraje w sensie dyplomatycznym odpisać na straty“. Czy nie zawcześnie?

Wliczane obecnie do „aktywów“ Zachodu — „w sensie dyplomatycznym“ Niemcy sprawiają tymczasem przykre niespodzianki swym patronom. P. MacCloy skarży się, że nieznani sprawcy profanują na cmentarzach groby Żydowskie a kanclerz Adenauer doradza skończyć wreszcie z podziałem Niemców na grzeszników i niewinnych, a zapowiada przytem z góry, że w służbie zagranicznej wypadnie posiłkować się fachowcami, których znaleźć można jedynie wśród nazistów...

Na szczęście dla państw „odpisanych na straty“ dwa tysiące Niemców w Berlinie na wezwanie kanclerza Adenauera zaintonowało hymn narodowy z czasów Wilhelma i Hitlera: „Deutschland über alles“. Tłumaczy on dzisiaj, że odśpiewano jedynie trzecią strofkę, która mówi „o zjednoczeniu, sprawiedliwości i wolności“. Obecni na sali wojskowi przestawiciele Francji, W. Brytanii i Stanów Zjednoczonych nie powstali z miejsc a socjaliści z sali wyszli. Pierwszym do smaku nie mógł przypaść tytuł, drudzy gorzko wspominają czasy, gdy rozlegały się dźwięki tej pieśni.

Z A P I S K I

NA JAKICH PODSTAWACH?

OCZY wszystkich ludzi miłujących wolność zwrócone są ku Stanom Zjednoczonym Ameryki Północnej — poucza nas patetycznie „Dziennik Polski“ — jako mocarstwu które nie tylko jest obecnie najsilniejsze na świecie, lecz po nad to opiera swój byt społeczny na zasadach cywilizacji zachodniej“...

Proszę, proszę! — A na jakich to? Bo, jak to dobrze wiemy, na zasadach cywilizacji zachodniej wyrósł komunizm i bolszewizm. Jakież to j e s z c z e zasady zachodnie mają być słupami nadziei „ludzi miłujących wolność“? Rasizm? Nienawiść do katolicyzmu? Wyrzucenie Boga z całości życia ludzkiego? Kapitalizm? Nieludzki materializm indywidualistyczny i trustowy? Pogarda dla człowieka, który nie potrafi się „urządzić“? Kultura lodówki i comicsów? Gangster?

Najinteligentniejszy i najbardziej czujący pisarz młodego pokolenia polskiego, zaszyty gdzieś w Ameryce Południowej, pisze do mnie w liście: ...„Ja mam zamiar bezczelnie zapytać szereg ludzi w rodzaju Wańkowicza, Florczaka, Czapskiego, a więc tych z „Klubu trzeciego miejsca“ — na jakich podstawach opierają swoją etykę i moralność i jaką widzą możliwość szerzenia tych zasad wśród dzisiejszych ludzi. Jeśli nie są ani katolikami, ani komunistami, to czym są, do cholery?“

Otóż to: — Na jakich podstawach oparte są te nadzieje na Amerykę? Jaka jest wizja świata, który ona ma wywalczyć dla miłujących wolność redaktorów emigracyjnych? Oczywiście, że jest dużo naturalnego zdrowia i tężyzny wśród społeczeństwa amerykańskiego, lecz jakże nędzny byłby świat, stworzony przez reprezentacyjnych oficjalnych przedstawicieli tego państwa.

Truman obiecuje umęczonemu światu — drugą radiostację obok „Voice of America“... Sądzę, że to może nawet niektórym emigracyjnym „politykom“ wyda się trochę za mało, jak na program „obrony cywilizacji chrześcijańskiej“. A dobrze jest wiedzieć pewien szczegół: Tylko bolszewicy przy swoim braku poczucia humoru traktują „The voice of America“ serio. Za żelazną kurtyną np. w Polsce, audycje te cieszą się mniejwięcej podobną oceną, co audycje propagandowe komunistyczne. Sprawia to jednostronny, prostacki optymizm amerykański, który w ogóle nie widzi złożoności rzeczy i świata. Daleko chętniej słuchane są audycje BBC dla nieukrywania smutniejszych stron życia z tej strony, z naszej strony, żelaznej kurtyny.

A pozatem niech mi tu wolno będzie powtórzyć — za „Osservatore Romano“ — cytat z Lenina, sprzed mniejwięcej 30 lat: „Za lat 100 — na ziemi jako jedyne dwie siły realne zostaną na placu Sowiety i Kościół Katolicki“. Niewiadomo wprawdzie jak będzie z pierwszą częścią tego proroctwa. Za drugą natomiast — można gwarantować, chociaż wypowiedział ją — Lenin. **tok.**

CO TO ZA MINISTER?

W „OSSERVATORE ROMANO“ z dnia 14 kwietnia b.r. na 1. stronie jest wiadomość, że pielgrzymi polscy z W. Brytanii na Rok Święty pod przewodnictwem X. H. Kornackiego byli obecni w czasie uroczystości wielkanocnych. W notatce, która wymienia wśród pielgrzymów gen. J. Hallera, p. J. Raczkiewiczową i p. J. Giertycha, czytamy oprócz wiadomości, że gen. Haller odegrał najwybitniejszą rolę w czasie ostatniej (!) wojny organizując ochotniczy korpus polski także i następującą zadziwiającą informację: „W pielgrzymce wziął również udział p. **Sovalis Marianus**, który w czasie wojny był ministrem spraw wewnętrznych w Londynie“...

Jako żywo nie pamiętamy żadnego polskiego ministra, który by się nazywał p. Sovalis Marianus. Domyślamy się natomiast, że rozszczepiono w ten sposób na dwie różne osoby gen. Hallera, który, jak wiadomo, jest sodalisem. I oto pytanie pierwsze: Który to z naszych rzymskich Polaków ponosi odpowiedzialność za niedbałe zredagowanie notatki, że ukazała się ona w tak dziwacznej formie?

I tu też pozwalamy sobie dodać pytanie drugie, znacznie ważniejsze: Kto zawinił i wobec Ojca św. i wobec naszych pielgrzymów, że nie podano Papieżowi do wiadomości, iż w czasie ogromnej audiencji w bazylice św. Piotra w W. Sobotę znajduje się spora jak na trudne emigracyjne możliwości grupa Polaków?

W czasie tej audiencji był taki moment, że Ojciec św. zwrócił się do „i lavoratori di Bolonia“ do robotników z Bolonii. Srodze się zawiedli nasi pielgrzymi, którzy zaczęli radośnie wiwatować, sądząc, że to nareszcie oni, „di Polonia“..

W dzisiejszych okolicznościach, w których znajdują się Polacy w kraju i na emigracji, takie zaniedbanie ze strony czynników polskich za to odpowiedzialnych, jest wielką krzywdą dla nas. Sprawy tej nie wolno pominąć milczeniem. **jt**

NIEKTÓRZY...

BARDZO ruszają się Polacy w Szwajcarii. Na Zielone Świątki organizują Zjazd Katolicki we Fryburgu z udziałem X. Biskupa Gawliny, który jest jednym z protektorów zjazdu razem z nuncjuszem X. Arcyb. Bernardini i Biskupem Charrière. We Fryburgu działa koło PKSU Veritas, w Zurychu działa drugie koło, w Genewie koło Veritas wstaje z martwych.

Koło fryburskie wydaje interesujący biuletyn na powielaczu. W ostatnim kwietniowym numerze czytamy w sprawozdaniu z uruchomienia koła zurychskiego notatkę o przemówieniu Ojca Bocheńskiego, który omówił sytuację obecną z punktu widzenia katolików. Ostatnich 250 lat, stwierdzał m. in., cechowało powszechne osłabienie zainteresowań wiarą. Czasy zaś w których żyjemy, są czasami — znowu po wiekach — wojen religijnych, a ich niebywała i rosnąca gwałtowność świadczy, że nie prędko się zakończą. Pierwszym ze współczesnych wielkich przywódców, który zrozumiał do głębi znaczenie religii dla społeczeństwa, był Lenin, który właśnie dlatego wznowił nieubłaganą z nią walkę...

I tu następuje w nawiasie uwaga redakcji Biuletynu: „Rzecz ciekawa — słuchacze O. Bocheńskiego wykazali większe zrozumienie tego przecież zupełnie jednoznacznego przykładu niż... niektórzy czytelnicy tygodnika ŻYCIE przy podobnej okazji“.

Właśnie. Niektórzy... Znakomita bowiem większość czytelników zrozumiała artykuł wielkiego filozofa doskonale. Nie zrozumieli go tylko ci, którzy komunizm traktują jako własną niewygodę przede wszystkim. I wtedy nawet Boga gotowi są łaskawie sobie przypomnieć pod warunkiem, że iż tak pokieruje sprawami, aby znowu wszystko było tak „pięknie“ jak „przed wojną“. I ci, którzy sądzą, że komunizm można zwalczyć deklaracjami o obronie „kultury chrześcijańskiej“ przy pomocy amerykańskich bomb wodorowych.

jot

MIĘDZYNARODOWE BIURO POSZUKIWAŃ IRO AROLSEN/KASSEL, poszukuje:

BALCERZAK Zbigniew Konstanty, ur. 8.6.1929 w Zielonce koło Warszawy; mieszkał w Warszawie; ostatnio widziany w okolicy Bari, we Włoszech;

BIELINSKI Władysław, ur. 3.2.1925; wywieziony przez Niemców na roboty przymusowe do Charkowa, Rosja; stamtąd wrócił w lutym 1943 r.; w 1944 r. rzekomo widziany we Włoszech;

BIELKA Ludwik, ur. 27.7.1914 w Tychach na Śląsku; był w niem. Armii we Francji; w 1945 r. przebywał rzekomo w szpitalu w Taranto, Włochy;

BOREJSZO — WYSOCKA albo WYSOCKA-BOREJSZO z domu MINKIEWICZ Antonina, ur. w 1883 r.; mieszkała w Wilnie; wywieziona przez Rosjan na Sybir; była ostatnio prawdopod. w brytyjskim obozie w Teheran/Iran;

COURARD z domu KALEWSKA Barbara, ur. 4.12.1926 w Kaliszu,

COURARD Georges, przebywali do 1946 r w Paryżu, a później w Anglii;

GŁĄBICKI Franciszek, ur. 1890 w pow. Łask; mieszkał w m. Kurowszczyzna, gm. Sielce nad Jasiołdą; w 1939 r. aresztowany i osadzony w więzieniu w Prużanie; później wywieziony do jednego z więzień w Mińsku;

HUTA albo HOTA Edward, ur. 7.12.1925 w Mysłowicach; był w niemieckiej Armii; ostatnia wiadomość z 1945 r.;

LUBOWSKI Mojżesz Rafał, ur. 1919 w Piotrkowie Kujawskim; przebywa rzekomo w Londynie;

MAJCHRZAK Władysław, ur. 23.3.1899; mieszkał w Warszawie, przebywa prawdopod. w Anglii;

MUDRY z domu PŁOCĘCKA Genowefa, ur. 1908.

MUDRY Zofia, ur. 7.4.1937 w Kościuszkowie, ostatnia wiadomość z 1942 r. z Kołchozy 1. Maja, Turkestan Rosja;

POTYKA Henryk, ur. 18.1.1895 w Raciborzu, Śląsk; mieszkał w Bytomiu; był w niem. Armii; ostatnia wiadomość z 1945 r.;

WITEK Kazimierz, ur. 7.3.1915 we Lwowie; mieszkał w Stryju; był w 1939 r. w polskiej Armii; w 1941 r. udał się z Węgier do Francji, a stamtąd do Anglii;

ZAPISKI LONDYŃSKIE

Brytyjskie wydarzenia kulturalne ostatniego okresu

STULECIE WORDSWORTHA

Dnia 23 kwietnia minęło sto lat od zgonu Williama Wordswortha, jednego z najwybitniejszych poetów angielskich. Wordsworth, urodzony w r. 1770, wydał jako 28-letni młodzieniec wspólnie z Coleridgem tom „balad lirycznych“, które odegrały przełomową rolę w rozwoju poezji angielskiej.

Wordsworth wielką część swego życia spędził w okręgu jezior (Lake District) i tam też odbyły się główne uroczystości ku jego czci. Zorganizowano obchody w Penrith gdzie poeta uczęszczał do szkoły w r. 1777, w Hawkshead, gdzie był uczniem miejscowej Grammar School od r. 1778 do 1783, w Ambleside, gdzie spędził lata swej pracy, i w Rydal, gdzie zmarł. Główne jednak obchody odbyły się w Grasmere, gdzie Wordsworth żył przez długi czas ze swą siostrą, a później także z żoną, oraz w Cockermouth, gdzie się urodził.

W przeddzień rocznicy, 22 kwietnia, przemawiał w Grasmere lord Beveridge, a odczyt jubileuszowy wygłosił Basil Willey, profesor literatury angielskiej na uniwersytecie w Cambridge. Willey nazwał Wordswortha największym poetą romantycznym Anglii. Stwierdzenie to uderzać musi ludzi z kontynentu Europy, którzy przywykli za czołowego przedstawiciela romantyzmu angielskiego uważać Byrona.

W związku z rocznicą do miasteczek i wsi okręgu jezior przybyły z różnych stron kraju setki wielbicieli talentu Wordswortha.

UROCZYSTOŚCI KU CZCI SZEKSPIRA

Ku uczczeniu 386 rocznicy urodzin Szekspira w jego rodzinnym Stratford-on-Avon, gdzie właśnie odbywa się doroczny festival szekspirowski, wywieszono flagi 80 państw. Wielu mieszkańców miasta i przybyszów przybrało swe butonierki w gałązki rozmarynu „for remembrance“.

Na specjalnym bankiecie przemawiał ambasador amerykański Lewis Douglas, który uprzednio odsłonił tablicę bronzową, mającą upamiętnić zarówno pomoc amerykańską w odbudowie teatru szekspirowskiego, jak odwiedziny licznych żołnierzy amerykańskich w czasie ubiegłej wojny. Tablicę umieszczono na ścianie teatru.

W uroczystości wzięło udział 16 ambasadorów, Lord Mayer Londynu i wielu innych dygnitarzy.

NOWA ENCYKLOPEDIA CHAMBERSA

Nowe wydanie „Chambers Encyclopaedia“, o którego bliskim ukazaniu się niedawno donosiliśmy, pojawiło się już na rynku księgarskim nakładem firmy George Newnes and Sons. Obejmuje ono 15 tomów; cena wynosi 42 funty i 10 szylingów.

Artykuły w encyklopedii uwzględniają najnowsze postępy wiedzy we wszystkich dziedzinach; napisane są one przez wybitnych specjalistów.

Na łamach „Sunday Times“ Sir David Keir, Master of Balliol College w Oksfordzie, sławi encyklopedię jako tryumf brytyjskiego wysiłku umysłowego.

NOWY REDAKTOR „SUNDAY TIMES“

W W. Hadley, redaktor „Sunday Timesa“, czołowego obok „Observera“ niedzielnego pisma brytyjskiego, od r. 1932, ustąpił na własną prośbę ze swego stanowiska. Hadley liczy 84 lata.

Następcą jego został dotychczasowy pomocnik redaktora (Assistant Editor) H. V. Hodson.

ODMOWA WYDANIA RĘKOPISU SWINBURNE'A

Poseł socjalistyczny Wyatt zaprotestował w przemówieniu, wygłoszonym w Izbie Gmin, przeciw postępowaniu dyrektora British Museum, który odmówił pokazania rękopisu jednej z nieogłoszonych powieści Swinburne'a pisarzowi angielskiemu Randolphowi Hughes'owi. Powieść Swinburne'a poświęcona jest zagadnieniu flagellantyzmu. Hughes — jak wywodził w swym przemówieniu poseł Wyatt — pisze książkę, która ma zawierać polemikę z niektórymi poglądami Swinburne'a, i dlatego chciał przejrzeć jego rękopis. Dyrekcja British Museum odmówiła jednak kategorycznie wydania manuskryptu, choć poprzednio, jak oświadczył Wyatt, dała go do czytania Amerykaninowi Langowi.

Wzgląd na sprzeciwy ze strony rodziny nie może tu odgrywać, zdaniem Wyatta, roli, gdyż Swinburne zmarł 40 lat temu, a ostatni członek jego rodziny lat temu 34.

Wyatt gwałtownie zaatakował „dyktatorskie zapędy“ dyrektora muzeum, twierdząc, że postępuje on nielegalnie wbrew postanowieniom aktu z r. 1753, który przewiduje, że każda osoba studiująca lub objawiająca w danym kierunku zainteresowanie, ma prawo dostępu do dokumentów, przechowywanych w British Museum.

Przedstawiciel rządu p. Jay, sekretarz finansowy skarbu, odrzucił skargę Wyatta, stwierdzając, że muzeum ma prawo odmówić lub ograniczyć użytek publiczny przechowywanych przez siebie dokumentów w pewnych okolicznościach. „Trustees“ muzeum są zdania, że ujawnianie materiału, zawartego w rękopisie Swinburne'a, mogłoby naruszyć interesy niektórych żyjących jeszcze osób.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas **Foundation** Publication Centre. Adres redakcji i Administracji: **Polish Weekly ŻYCIE, 12 Praed Mews, London W 2.** Telefony: **Redakcja** i Administracja: AMB 68 79. **Drukarnia:** PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt **t y l k o od godz. 3.30 — 4.30 po poł.** Administracja czynna **codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17 — z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt.** Redakcja **żadnych rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych** wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. **P r e n u m e r a t a** płatna jest z góry i wynosi: **miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty** przekazywać należy Postal lub Money orderami, **względnie** czekami bankowymi **„crossed“** wystawionymi na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 [illegible] £ 1; w **tekście 50%** drożej na stronie **tytułowej 100%** drożej. **P r e n u m e r a t a zagraniczna:** SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwartalnie 10.00 kr. Przedstawiciel: **Mgr. Bożys**[illegible] [illegible]**UROWSKI. A**[illegible] 6 c. Lund. Sverige. Sweden. **NIEMCY:** miesięcznie 2.50 DM. kwartalnie 7.00 DM. **ARGENTYNA:** kwartalnie 12 peso półrocznie 24 peso. Przedstawiciel: **J. MIECZNIKOWSKI & T. DĄBROWSKI Składnica Książki Polskiej. Av. Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires.**

Printed by: „Veritas **Foundation Press“ 12, Praed Mews, London W. 2.** Tel. PAD. 9734.